Nr. 19. Lwów, Niedziela dnia 6. Stycznia 1878 r. Tom VI.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

ROZDROBIENIE GRUNTÓW WŁOŚCIAŃSKICH.

Po gospodarstwie lichem, jest wzmagające się ciągle rozdrobienie gruntów włościańskich jedną z najważniejszych przyczyn podupadania tej klasy ludności pod względem materyalnym.

Przez podziały familijne, częściowe sprzedaże i zastawy ciągle umniejszają się obszary włościańskich gruntów. Rozdrobienie to postępuje tak szybkim krokiem, że w dwunastoletnim okresie pomiędzy dwoma ostatnimi spisami ludności w Austryi (w r. 1857 i 1869) wzrosła w Galicyi liczba samoistnych właścicieli ziemskich z 496.091 do 658.426, tj. niemal o trzecią część, pomimo, że dawniej nie istniała swoboda dzielenia gruntów włościańskich. Gdy zaś równocześnie jak grunta maleją, nie polepsza się w tym samym stopniu ich rentowność, ponieważ włościanie jak niedbale i niezdarnie gospodarowali dawniej, kiedy mieli większe grunta, tak i teraz na mniejszych obszarach nie o wiele lepiej gospodarują; gdy potrzeby codzienne włościan także nie umniejszają się, lecz owszem (jak to było wykazano w poprzednim artykule) z każdym rokiem powiększają się, gdy włościanie jak dawniej tak i teraz mało dbają o zarobek z innych źródeł, a nie z gospodarstwa rolnego płynący, więc samo przez się rozumie się, iż w tym samym stosunku, jak umniejsza się przeciętny obszar ziemi uprawnej, przypadającej na jedną rodzinę włościańską, zmniejsza się także i zamożność klasy drobnych rolników w naszym kraju.

Czują to sami włościanie, i dlatego środkami, na jakie przy ciemnocie swojej zdobyć się mogą, starają się powiększać obszar gruntów swoich, przez procesa, worywanie się w miedze sąsiadów, zaorywanie dróg, wysuwanie płotów i tym podobnymi źle obmyślanymi sposobami i sposobikami.

My tego nie uznajemy, ażeby wybawienie włościan z nędzy zależało wyłącznie od powiększenia obszaru ich gruntów, a to z tych samych powodów, dla których nikt rozsądny nie może utrzymywać, jakoby polityczna potęga państw mogła być mierzoną tylko podług ilości mil kwadratowych ich obszaru. Lecz ostatecznie jednak nie można z kretesem zanegować zupełnie słuszności tego argumentu, że gdyby włościanom można było jakim sposobem przysporzyć więcej roli, to przez to wzrosłaby ich zamożność.

Zastanówmyż się przeto, czy nie ma na to sposobu, ażeby zapobiedz zbyt gwałtownemu umniejszaniu się przestrzeni gruntów włościańskich, w skutkach swoich nader szkodliwemu dla społecznych a nawet i dla narodowych interesów naszych?

Pierwszym środkiem, prowadzącym do rozprzestrzenienia gospodarstw włościańskich z nieobliczoną korzyścią dlo kultury krajowej, byłoby *stopniowe powiększanie się intensywności gospodarstw dworskich.* Wiadomo bowiem, iż jedną z najgłówniejszych przyczyn smutnego stanu gospodarstw na wielkich obszarach ziemskich jest ta okoliczność, iż panowie nasi za mało mają gotówki, czyli mówiąc utartym terminem za mało mają kapitału obrotowego do rozporządzenia, ażeby mogli robić takie wkłady w gospodarstwo, jakich wymaga dzisiejszy postęp rolnictwa. Doświadczenie uczy, iż 100 morgów rozumnie zagospodarowanych więcej intraty przynosi, a więc także warte więcej, niż paręset morgów licho uprawnych łanów. Ztąd wniosek, że gdyby właściciele wielkich majątków ziemskich pozbywali się parcel, niedogodnych dla nich do uprawy, sprzedając je lub wydzierżawiając włościanom, to najprzód by sami na tem dobrze wyszli, gdyż powiększyliby swoją intratę, skoncentrowawszy gospodarstwo na mniejszej przestrzeni — włościanie łakomie rzucają się gdy usłyszą o rozparcelowywaniu łanów dworskich, bo im za ciasno na swoich gruntach — a najwięcej zyskałaby na tem kultura krajowa, bo podniosłaby się w takim razie uprawa i dworskich i rustykalnych obszarów ziemi.

Statystycznie sprawa ta przedstawia się jak następuje: podług najnowszych obliczeń jedno gospodarstwo włościańskie obejmuje w przecięciu $9._4$ morgów obszaru, jedna wielka posiadłość ziemska 1.176 morgów. Tymczasem gospodarstwa dworskie zazwyczaj źle stoją dlatego, że im brak siły roboczej do należytego obrabiania całej należącej do nich przestrzeni ról uprawnych, u włościan zaś marnują się corocznie na próżnowaniu miliony dni roboczych z tego powodu, że włościanie mają do rozporządzenia za wiele rąk do roboty w stosunku do obszaru swoich gruntów. Gdy chłop ma co jeść, to nie koniecznie kwapi się na pański łan nawet za dobrą zapłatę, ale gdyby miał swego więcej, to przecieżby i robił więcej...

Na wielu miejs owościach próbowano już parcelacyi niedogodnych dla dworu kawałków ról pomiędzy włościan, i wszędzie były obie strony zadowolone z interesu, gdyż sprzedający uzyskują przy tem zawsze dobre ceny przy sprzedaży, a dla kupujących rozszerzenie granic ich posiadłości ma także niezmiernie doniosłe znaczenie. Gdyby zaś właściciele obszarów dworskich zrobili z tego zasadę, iż mniej potrzebne im kawałki pól będą odprzedawali włościanom, to wywołaliby tym sposobem nader użyteczny dla gospodarstwa krajowego ruch własności ziemskiej.

Byłoby bardzo na czasie, gdyby w fachowych pismach rolniczych i w łonie towarzystw gospodarczych kwestyę parcelacyi zbytecznych łanów dworskich wzięto pod rozbiór krytyczny, ażeby ją dokładnie wyświecić tak ze stanowiska fachowego, czysto rolniczego, jakoteż ze stanowiska ogólnej ekonomii społecznej.

Wzięcie pod uprawę, względnie rozparcelowanie przeszło pół miliona morgów t. z. pastwisk gromadzkich, wiecznie ugorem leżących, także bardzo znacznie powiększyłoby wartość tej olbrzymiej przestrzeni ziemi z korzyścią największą dla włościan, którzy tym sposobem, tj. przez parcelacyą pastwisk gromadzkich rozszerzyliby swoje grunta orne, ogrody i łąki, przyzwyczailiby się do uprawy roślin pastewnych, co znów podniosłoby w kraju w dalszem następstwie hodowlę bydła. Ekwiwalent wartości dzisiejszej tych pastwisk byłby i nadal dla tychże gmin zachowany w formie kapitału ściągniętego ze sprzedaży, a gospodarstwu krajowemu przybyłyby ogromne obszary ról troskliwie uprawnych, w miejsce teraźniej-

szych pustkowi. Korzyści agitacyi w tym kierunku są jasne jak na dłoni, tylko byle było komu sprawą tą zająć się gorliwie!

Z uwag powyższych widzimy, iż są legalne i praktyczne sposoby załatwienia strasznej kwestyi *lisów i pasowysk*, a przynajmniej skierowania jej na tor rozumny i dla ekonomii krajowej wielce korzystny. Ale ta sprawa wymaga mozolnej pracy, a gdzież są ochotnicy do tej pracy?

KRWAWE ZNAMIĘ.

POWIEŚĆ

przez

J. J. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

P. Nikodem Repeszko właśnie był powrócił z Lublina, w dosyć dobrem usposobieniu umysłu, zadowolony z siebie, obrachowując wcześnie przyszłe zyski, jakie mu szczęśliwie prowadzona sprawa niechybnie dać musiała, gdy drzwi otworzyły się nagle (ledwie czas miał trzos, leżący na stole, wsunąć pod poduszkę) i wszedł kasztelanic. Mimo, że mu teraz wiele zawdzięczał, Repeszko zawsze się go obawiał, i każda jego bytność przejmowała go jakimś strachem. Tym razem jednak, spojrzawszy na twarz, znalazł Jaksę tak zmienionym, tak posępnie łagodnym, tak jakoś nie groźnym, że mu otucha wprędce do serca wróciła. Nic nie mówiąc, kasztelanic usiadł.

— Słuchajno, mospanie Repeszko — odezwał się — mam do ciebie interes... Przypominasz sobie zapewne, kiedy ci raz pierwszy ustępstwo moich pretensyi do Mielsztyniec przyniosłem, zapowiedziałem wyraźnie z góry, iż może przyjść chwila, gdy ci powiem: nie pójdziesz dalej — dosyć! Otóż ta chwila przyszła... Dosyć.

— Jakto? — zapytał przelękły Repeszko — jaka chwila? co miało przyjść, najszanowniejszy mój dobroczyńco i łaskawco? Ty, którego nieocenioną przyjaźnią się zaszczycam... żarty chyba raczysz czynić z pokornego sługi swego.

— Ja nigdy w życiu nie żartuję — odpowiedział spokojnie kasztelanic... — szydzę czasem, to co innego.

— A czasem straszę — dodał wdzięcząc się, ale zbladły gospodarz.

— Mylisz się — przerwał znowu Jaksa — nie straszę nigdy, chociaż biję czasem.

— Ale to są... ot tak...

— Bynajmniej — mówił Jaksa — bynajmniej. Proces doszedł do tego kresu, który ja mu w myśli naznaczyłem i mówię: dosyć.

— Nie tak to łatwo zrobić, jak powiedzieć — przebąknął zafrasowany Repeszko... — Cóż by to było?... Toż to ruina, hańba dla mnie i choć iść z torbami... Wszakże ja na tę przeklętą sprawę zadłużyłem Studzienicę...

— Słuchajże mnie. To coś wyłożył obrachujemy, dam ci nawet zarobić, bo taki człowiek, jak ty, spuszcza się ze smyczy, aby choć skoki zajęcze miał w zysku.

— To ostro! to bardzo ostro! — rzekł chmurno Repeszko. — Jak Jezusa miłuję, kto inny na mojem miejscu by się gniewał; ja to biorę z dobrej strony... Kochany kasztelanic dowcipuje! dowcipuje!

— Bierz z jakiej chcesz, to mi wszystko jedno... a com powiedział, spełnić się musi do joty.

Pan Nikodem, spojrzawszy na gościa, padł osłabły na swoje łóżko twarde; pot mu spływał po skroniach, załamał ręce.

— Zanadto ci się bo znów chciało — rzekł zawsze bardzo łagodnie z uśmiechem politowania kasztelanic. — Gratka by to była nieszpetna, ale... dla waści dosyć będzie skoków. Dawaj rachunki!

Repeszko jeszcze nie wierzył, jeszcze się wzdrygał; nakoniec, acz cierpliwy, bo tchórz, pomyślał spróbować gniewu i oburzenia.

— Ale to tak nie może być! — zawołał — to pójdziemy się rozprawić przed sądy. Ja, ja...

— Chyba przed trybunał najwyższy — rzekł Jaksa — bo ci zapowiadam, że jak psu w łeb ci strzelę, potem może sobie, ale że cię kula nie minie, tego możesz być najpewniejszym. Rachunki natychmiast! — krzyczał Jaksa, bijąc pięścią w stół... — i milczeć, bo ubiję!..

Gospodarz spojrzał na drzwi i chciał się wymknąć, ale Jaksa nie żartował; olbrzyma tego z małą główką pochwycił za kark i rzucił nim o łóżko. Potem schował klucz, wydobył pistolet i położył na stole, powtarzając: Rachunki! natychmiast!

Repeszko złagodniał.

— Ale mój najłaskawszy dobroczyńco... słowo daję, takiej gorączki jeszcze nigdy nie widziałem. Ja jestem człowiek spokojny, Bogu ducha winien, zawsze nieszczęśliwa ofiara... zawsze ofiara... Ludzie ze mnie co chcą robią...

— Rachunki! — powtórzył Jaksa.

— Ale ojcze, dobroczyńco, łaskawco!... tylkoż sam pomiarkuj. Niepodobna przecie z palca wyłamać rzeczy tyle skomplikowanej, jak rachunki procesowe... Wszak to, ojcze, morze do wypicia. Dajże czas!

— Kłam, dodawaj, szachruj, ale mi dawaj rachunki tu zaraz na stół — wołał kasztelanic. — Sknera taki jak ty, nie może co do grosza nie wiedzieć, ile miał w kieszeni i co wydał... Nie żądam od ciebie denarów, mów coś wydał!...

Repeszko znowu na łóżko upadł i pochwyciwszy się za głowę, udawał, że mdleje.

— Kochanie, czas upływa — zawołał kasztelanic. — Komedyi nie lubię i mogę cię otrzeźwić tak, jakbyś sobie może nie życzył. Mnie pilno.

Naówczas gospodarz padł na kolana i począł płakać.

— Ojcze mój — zawołał składając ręce — gubisz mnie na fortunie i honorze. Cóżem ci winien? Wpraszałem-że się w tę robotę?

— Ochłapy ci się przecie dostaną — odparł pogardliwie Jaksa. — Ja z tego nie potrzebuję złamanego szeląga, pieniądz ten dłońby mi spalił. Wstawaj i mów!

Targi trwały jeszcze chwilę, ale kasztelanic tak był groźny, tak coraz się stawał popędliwszy, że zalzawiony Repeszko musiał wreszcie przystąpić do ostatecznej likwidacyi.

Jakkolwiek suma zręcznie podstawiona była znaczną, bo przechodziła sto tysięcy złotych, zgodził się na nią Jaksa, dobył z kieszeni przygotowany reces, w którym wpisał warunki, i natychmiast kazał na nim Repeszce się podpisać *nomine, cognomine et titulo*. Zręczny wykrętacz chciał już dodać: *salvis juribus...* aby jakiś był kruczek, ale potrącony, położył się na łóżko. Tu gorżko prawdziwemi począł płakać łzami.

— Posłuchaj pan — odezwał się po chwili, wstając. — Zgniotłeś pan mnie jak robaka, zrobiłeś ze mną, coś chciał; ale pamiętaj, że i mali coś na świecie znaczą, że mól przegryza makaty i skóry...

— Mój kochany — odpowiedział Jaksa — będziesz mnie sobie gryzł, jak chcesz, nie na wiele się ja zdałem i z życia skwitowałem dawno... Idzie mi o jedno tylko, bym przekonał świat i tych, których opinia mi jest drogą, że z tego nieszczęsnego grosza nie wziąłem nic, żem się nie splamił. Musisz mi tedy pod przysięgą dać świadectwo, jako od ciebie niczego nie żądałem i w żadnej z tobą nie byłem spółce.

Podpisanie ostatniego dokumentu już przyszło bardzo łatwo; przysługiwał on do pewnego stopnia Repeszce, bo mu zabezpieczał całą jego sumę.

— Teraz — rzekł Jaksa — ponieważ chwili nie mam do stracenia, idź, gdzie chcesz płakać nad niedolą swoją, a mnie tu zostaw, abym listy popisał, które Zacharyasz natychmiast powiezie. Zdaje się, że pogrążony w smutku i tak nagle upadły z wyżyny swych marzeń p. Nikodem, nie słyszał nawet co do niego mówiono. Ze spuszczoną głową, z załamanemi rękami, siedział nieruchomy na łóżku. Kasztelanic gorączkowo się wziął do pisania. List do Spytkowej zawierał szczere, szlachetne, smutne wyznanie win, wykrycie planów, prośbę o przebaczenie i papiery udowadniające, że Repeszkę tylko opłaciwszy, Mielsztyńce być mogą spokojne.

W tem usposobieniu poczciwem ducha, w jakiem był kasztelanic, czuł on, że to co czynił, powinno było być całkowitą, bezwarunkową ofiarą.

List jego kończył się temi słowy:

„Łza twoja... pani mego żywota (nie zapomni czytelnik, że jesteśmy w ośmnastym wieku) obmyła ze mnie wszelki brud, którym nędza i cierpienie długie mnie okryły... Jestem i czuję się innym... Kocham ciebie! chcę dowieść żem cię ukochał, jak nie kochają na ziemi... Bądź spokojną! sterany szczątek człowieka nie przywlecze się do stóp twych błagać litości i żebrać jałmużny!... Potrafię pójść zagrzebać się gdzieś i umrzeć, nie uroniwszy jęku, po męzku. To będzie zemsta Jaksy ostatnia. Nie żądam od ciebie niczego, oprócz, byś wspomniawszy mnie kiedyś, szczęśliwa, spokojna, westchnęła myśląc, że nie wszystko złem było w tym szaleńcu, który ci zatruł twą dolę. Ostatnia iskra spali się jasnym płomieniem".

„Rabsztyńce, wyjeżdżając, przekazuję wam. Poszanujcie groby nieprzyjaciół... otoczcie staraniem rozbite gniazdo gryfie..."

List był jakby łzami urwany. Kasztelanic wstał, zawołał Zacharyasza, oddał mu papiery, spojrzał na przybitego Repeszkę, zimno, z pogardą i milcząc poszedł do drzwi. Czekał tu na niego koń, pojechał pożegnać jeszcze Rabsztyńce.

W Mielsztyńcach siedziano u stołu, gdy na srebrnej tacy stary kamerdyner wniósł plik papierów opieczętowanych i postawił go przed panią.

Rzuciwszy okiem, wdowa poznała pismo

Iwona, rozerwała kopertę i poczęła czytać z gorączkową ciekawością. Płomienie uderzały jej na twarz, to znowu bladość ją okrywała śmiertelna, ręce drżały; ale kilkunastu lat praca, dała jej siłę panowania nad sobą. Po chwili wyprostowała się, poważna, zimna, obojętna na pozór, czuła bowiem ciekawe oczy dziecięcia zwrócone na siebie, odsunęła papiery i ponowiła nieco tylko drżącym głosem przerwaną powszednią rozmowę.

Chwila ta przecież postanowiła o jej życiu — była straszliwą ofiarą, wyrokiem nagłym, krokiem, który na nią miał ściągnąć może wzgardę i przekleństwo świata. A jednak nie widać było po niej nic, prócz posępnego zamyślenia.

— Natychmiast po obiedzie podadzą mi karego konia — zawołała. — Eugenek — dodała patrząc na syna — pójdziesz ze mną do mojego pokoju, mam ci coś do powiedzenia.

Tylko baczne oko syna mogło dostrzedz, gdy się tak siliła pokazać zupełnie spokojną, lekkie drżenie jej ust i błędne oczów spojrzenie, które patrzały nie widząc. Reszta obiadu przeszła wedle obyczaju: ksiądz wstał by zmówić modlitwę dziękczynną, wszyscy się gospodyni pokłonili i rozeszli. Spytkowa, wziąwszy machinalnie przyniesione jej papiery do rąk, stała chwilę, poglądając to na syna, który czekał, to po tej komnacie, jak gdyby ją żegnała raz ostatni. Usiłowała wyrobić w sobie spokój zupełny, panowanie nad bijącem sercem i rozżarzoną głową, nimby stanowczy krok uczyniła. Chciała, by krok ten miał pozór chłodnego, niezłomnego postanowienia, a nie namiętności.

Nareszcie ruszyła się z miejsca, zwracając do swych pokojów, ale myśl nowa ją powstrzymała.

— Nie — rzekła do syna — chodź ze mną do pokoju ojca.

Pokój Spytka pozostał tak, jak utrzymywano go za jego życia. Wszystko tam zachowano w miejscu, aż do róż, których woń go orzeźwiała; ale mało kto tam chodził, oprócz starego sługi, co uprzątając go, codzień w nim opłakiwał.

Eugenek miał już jakby złowrogie przeczucie jakiegoś wypadku. W ostatnich dniach rozmyślanie, czytanie starego rękopisu, wpływ miejsca znacznie go zmężniły. Chłopak spoważniał, i z obawą patrzał na matkę.

Wdowa minęła oratoryum i otwarła drzwi sypialni pustej. Słońce w całym blasku oświecało ją jaskrawo. Okiem objęła ją całą i zwróciła się do syna.

— Dziecko moje — rzekła... — trafia się w życiu, że i z najpogodniejszego nieba biją niespodzianie pioruny. Taki dziś uderzył we mnie i w ciebie... Przygotuj się mężnie do wielkiej i stanowczej w życiu zmiany. Nie jesteś już dziecięciem. Postanowienie moje jest niezłomne, to co ci oznajmię, stanie się i stać musi, choć mnie łzy kosztować będzie. Stracisz matkę... jadę, aby nie wrócić więcej — muszę!... Eugeniusz stał prawie osłupiały; pani Spytkowa mówiła dalej.

— Nim zaślubiłam ojca twojego, byłam przeznaczoną innemu. Kazano mi oddać rękę... usłuchałam woli ojca. Przez kilkanaście lat spełniałam obowiązki moje ciężkie, będąc mu posłuszną i wierną... Dziś jestem wolną. Człowiek, którego życie zatrułam, jest nieszczęśliwy; trzeba go ratować od zguby. Idę, gdzie mnie serce i obowiązek woła!... Rozbrajam wroga Spytków, oswobadzam was od zemsty. Moim narzeczonym jest... kasztelanic Jaksa.

Eugenek drgnął.

— Matko! zawołał.

— Nie mów nic — odparła Spytkowa — zbliżając się i całując go w czoło. Na to nie ma ratunku, łzy ani zaklęcia nie pomogą. Proces o Mielsztyńce, który był dla ciebie groźny, jest skończony. Oto masz papiery. Nie zabiorę ztąd niczego. Wszystko co mi twój ojciec przekazał, oddaję ci i wracam; w jednej sukni ztąd wyjdę, jak przyszłam, nawet te klejnoty — dodała zrywając z palców pierścienie i łańcuch z szyi i kładąc je na stole — nie pójdą ze mną. Mały mój posażek mi wystarczy. Nie chcę niczego. Dziecko moje, przebacz mi! — I padła przed synem na kolana. Eugenek był przerażony, struchlały, drżący.

— Jesteś jeszcze tak młodym, że mimo rozsądku twego sam sobie rady dać nie możesz... Nie chcę, byś tak pozostał bez opieki. Pojedziesz do Warszawy, gdzie masz dalekich krewnych... Wojewoda S. weźmie cię w opiekę. Oddaj mu się... jest nam życzliwy. A! potępią mnie ludzie; ty sam, dziecko moje, rzucisz może na matkę kamieniem; ale któż z was zajrzał do tego serca... i pojąć mnie potrafi? Niech się stanie wola Boża, zniosę nawet wzgardę i potępienie, lecz uratuję od zguby człowieka.

Powstała — mówiąc to — z ziemi i poczęła łkając ściskać swe dziecię.

Jakąbykolwiek życie było męczarnią i nieznośnem brzemieniem, nikt łoża nawet boleści lat kilkunastu nie opuszcza bez żalu i tęsknoty. W chwili rozstania pani Spytkowa poczuła ten uścisk i płakała. Zresztą... zostawiała tu dziecię!

Eugeniusz czuł także łzy w oczach.

— A! — zawołał — instynktem nienawidziłem tego człowieka, choć pierwszy, o niczem nie wiedząc, sprowadziłem go tu sam... Ja go zabiję!

— I mnie z nim zabijesz chyba razem — odezwała się matka. — To com postanowiła, stać się musi. On cierpiał dla mnie, ja idę cierpieć dla niego. Rzucona kość, stało się! Z wroga Spytków, przerobię go na przyjaźnego im człowieka.

— Nigdy on nim nie będzie — rzekł chmurno Eugeniusz, który pod ciężarem tego ciosu, czuł się jakby podrosłym i zmężniałym.— Nie godzi mi się ani sądzić mej matki, ani jej wymawiać, że dom ten okrywa drugą żałobą i wiekuistym wstydem... ale mi wolno ją błagać!...

— Synu mój — przerwała wdowa — wszystko byłoby próżnem. Ja mam wolę żelazną, a com rzekła to się stanie, mimo łez które wyleję. Dotrwałam tu, wychowałam cię, byłam wierną moim obowiązkom; ale dziś odzyskuję siebie i słucham tylko własnego sumienia... Niech Boże błogosławieństwo strzeże waszego domu, który od tej chwili moim być przestaje... A! nie przeklinaj i nie pogardzaj matką! — dodała ręce łamiąc... i znowu na kolana upadła.

Eugeniusz stał jak martwy.

— Jeśli się to ma stać — rzekł — dlaczegoż tak nagle? Niech się spełni wola twoja, ale tu, ale w inny sposób... Nie uciekaj od nas.

— To być nie może — przerwała Spytkowa — nie wprowadzę tu nieprzyjaciela rodu waszego, nie! nie! Onby nie przyszedł, on jest dumny, onby nie chciał bogactw waszych. Ja idę ubóstwo jego podzielić. — I namiętnym uściskiem z płaczem i łkaniem objęła raz jeszcze dziecko swoje.

— Pamiętaj o mnie! — zawołała — miej serce dla mnie Eugeni... a cobądź się się stanie, pozostań godnym swoich ojców... Na tobie przyszłość rodziny...

Nagle wyrwała się synowi, podała mu rękę i wyszła z pokoju. Eugeniusz biegł za nią... Za progiem otarła łzy, spuściła zasłonę na twarz, a krok jej pewny i śmiały nie zdradzał już najmniejszego wzruszenia. Można było sądzić, patrząc na nią, że istotnie wyjeżdża na zwykłą przejażdżkę i że za godzin parę powróci.

Przed gankiem stał już jej koń gotowy i masztalerz chciał towarzyszyć pani; skinęła tylko, aby został, podała rękę synowi, rzuciła się na siodło, zacięła karego i... cwałem pędząc znikła za bramą zamkową.

Eugeniusz stał długo, jak wryty, i nierychło drżącym krokiem powlókł się do swego mieszkania. (C. d. n.)

STUDYA HISTORYOZOFICZNE

Tadeusza Korzona.

VICO.

II.

Nowa nauka.

(*Ciąg dalszy.*)

Principi di una Scienza Nuova di Giambatisto Vico d'intorno alla communa natura delle nazioni. Colla vita del' Autore scritta da lui medesimo 3 vol. Milano 1801 (podług wydania z r. 1744*).

Księga I. zawiera ugruntowanie zasad. Autor sporządził tablicę chronologiczną i zaczyna swe dzieło od uwag nad tą tablicą. Wyszydzając pretensye wszystkich ludów historycznych do wielce starożytnego pochodzenia i odsyłając dwie kolumny, o których wspomina Flawiusz Józef, jakoby wzniesione były na pamiątkę potopu, do Muzeum Łatwowierności — Vico przyznaje pierwszeństwo Hebreom, po nich umieszcza Chaldejczyków i Scytów, potem Fenicyan, a nareszcie Egipt. Tablica chronologiczna zaczyna się od potopu powszechnego czyli od 1656 r. po stworzeniu świata. Potomkowie Chama i Jafeta musieli rozprószyć się po wielkim lesie, który okrywał ziemię, postradali dar mowy, stali się podobnymi dzikim zwierzętom i przybrali postać przedpotopowych olbrzymów. Lecz gdy ziemia przeschła, a z jej suchych wyziewów mogły się tworzyć grzmoty, wtedy ludzie, strachem przejęci, stworzyli fałszywą wiarę w Jowiszów, których sam Varro wylicza czterdziestu. Języki zaczęły się tworzyć dopiero w okolicach Śródzie-

*) Bardzo upowszechnionem jest tłumaczenie, a raczej przeróbka Michelet'a pn. Principes de la Philosophie de l'histoire traduits de la Scienza Nuova de J. B. Vico. Bruxelle 1835 2 tomy. Podając to dzieło za wykład prawdziwej filozofii historyi tłumacz opuścił tu przeszło 100 stronnic, które za zbyteczne uważał, skracał i „modernizował" podług własnego uznania.

Z opracowań odznacza się rozległością poglądu i wiedzy dzieło *Ferrarego* Vico et l'Italie. Paris 1839.

*

mnego morza, nie zaś na dalekim Wschodzie. Pomiędzy 1856 a 2491 rokiem świata istniał w Grecyi i w Lacyum wiek boski czyli złoty. Od 2553 do 2752 trwa wiek bohaterski: Herkulesa, Orfeusza, drugiego Hermesa, Zoroastra, od 2800 zaś i w Lacyum. Około 3223 r. zaczyna się epoka pewniejsza, wieki ludzkie, gdy igrzyska olimpijskie zostały przez Jfita odnowione. Przegląd kończy się na drugiej wojnie punickiej, od której datuje się pewna historya Rzymu, chociaż i ta wojna nie jest jeszcze dokładnie opowiedziana, bo Liwiusz wyznaje, że nie wie trzech najważniejszych rzeczy: jacy konsulowie byli w Rzymie, gdy Hanibal burzył Sagunt, przez jaką część Alp wódz ten przeprowadził swe wojska, ani też jakie były podówczas siły Kartagińczyków. Ponieważ do tej chwili świadectwa pisarzy starożytnych są niepewne i ciemne, więc bez obawy można wkroczyć na tę niezajętą dziedzinę, na tę res nullius, żeby sprowadzić początki cywilizacyi do zasad naukowych, a tym sposobem fakta historyi pewnej odnajdą swoje początki.

Następnie Vico przedstawia szereg aksiomatów, postulatów i określeń, które tchną ducha w wywody „Nowej nauki" o spólnej naturze ludów, zawrą krążące w niej ogólne idee jak krew, która roznosi życie po całem ciele. Takich aksiomatow, czyli, jakby teraz nazwano, tez — jest 22 ogólnych i 92 szczególnych. Giuseppe da Cesare, jeden z późniejszych wydawców i kommentatorów Vico, powiada, że same te aksiomata wystarczyłyby na zapewnienie mu wiekopomnej sławy. Podajemy je w streszczeniu.

Pierwsze cztery dążą do obalenia wiary w tradycye rozmaitych ludów o starożytności ich pochodzenia i cywilizacyi, a to z zasady:

I. że człowiek, skutkiem nieokreślonej natury swego umysłu, bierze siebie samego za prawidło" (normę, podstawę) wszechświata, jak tylko rozum zaczyna się gubić w niewiadomości (ztąd pochodzi, że wszystko nieznane jest dla nas wspaniałem) i II. że istnieje w umyśle ludzkim przymiot drugi, a mianowicie: gdy ludzie nie mogą powziąć żadnego wyobrażenia o rzeczach odległych i nieznanych, wtedy oceniają je podług obecnych i znanych (ztąd wynikają przechwałki ludów i uczonych.)

W 10ciu następnych i najważniejszych (i fondamenti del Vero) podaje autor główne podstawy swojej nauki i określa swoje stanowisko filozoficzne.

V. Filozofia, jeżeli chce być pożyteczną dla rodzaju ludzkiego, winna podnosić i kierować upadłego, słabego człowieka, nie zaś wydzierać go przyrodzie, lub pozostawiać w zepsuciu. Dlatego zaprzecza słuszności zarówno Stoikom, którzy dążą do ubezwładnienia zmysłów, jak Epikurejczykom, którzy wszystko na zmysłach opierają; oświadcza się za szkołami platońskiemi i zaznacza trzy zasady swojej nauki: 1. potrzebę cnoty i miarkowanie namiętności, 2. nieśmiertelność duszy, 3. istnienie Opatrzności Bożej. W VII dowodzi, że prawodawstwo może wytworzyć dobrobyt społeczny tylko dzięki Opatrzności Bożej, która utrzymuje ludzi w społecznym bycie pomimo egoistycznych dążności i właściwych rodzajowi ludzkiemu wad: okrucieństwa, chciwości i ambicyi. VIII. Rzeczy nie mogą trwać ani utrzymać się po za obrębem warunków przyrodzonych... Z VII i VIII aksiomatu oraz z właściwego (poniżej) dodatku wynika, że człowiek posiada wolną wolę; że przez słabość nie może swych namiętności przerobić na cnotę, lecz jest wspierany sposobem naturalnym przez opatrzność bożą, a sposobem nadnaturalnym przez łaskę bożą. X. Filozofia rozważa działania rozumu, zkąd pochodzi wiedza prawdy (la scienza del vero); filozofia bada powagę ludzkiej woli (arbitrio), zkąd wynika zeznanie rzeczy prawdopodobnych, la Coscienzo del Certo (do filologów zaliczają się gramatycy, historycy, krytycy i wszyscy badacze języków lub czynności ludów w życiu domowem, w obyczajach i prawach — oraz zewnętrznem, jakiemi są wojny, traktaty pokoju, przymierza; podróże, handel). XI. Wolność ludzka (l'umano arbitrio), z natury swej bardzo niepewna, umacnia się i określa przez powszechne poczucie ludzi o wszelkich konieczności ach i pożytkach ludzkich; są to dwa źródła naturalnego prawa narodów. XII. Poczucie powszechne jest to mniemanie, nie wyrobione drogą jakiegobądź rozmyślania, lecz odczuwane spólnie przez cały stan, lud, naród lub przez cały rodzaj ludzki. Ta zasada wraz z następnem określeniem wyda nowy sposób krytyki. XIII. Jednostajne idee zrodzone u całych ludów w epoce, kiedy się nie znały wzajemnie, muszą mieć spólną pobudkę do prawdy. W tem leży wielka zasada, że powszechne poczucie rodzaju ludzkiego jest sprawdzaniem (Criterio) udzielonem przez opatrzność bożą ludom, ku oznaczeniu prawdopodobieństwa w dziedzinie prawa przyrodzonego ludów. Z niego pochodzi słownik umysłowy, który poda pierwiastki wszystkich mów członkowanych (articolate); na niem funduje się też wiekuista idealna historya (la Storia ideal Eterna), która nam wyda dzieje doczesne wszystkich ludów. Tenże aksiomat burzy wszystkie idee, jakie dotychczas krążyły o przyrodzonem prawie narodów; mniemano, że pochodzi ono od narodu pierwotnego i przejętem zostało przez inne ludy... Będzie to ciągłem zadaniem ksiąg niniejszych, aby okazać, że przyrodzone prawo narodów rodziło się oddzielnie u pojedyńczych ludów, nie znających się wzajemnie i że następnie z powodu wojen, poselstw, przymierzy, handlu, było ono uznanem jako spólne dla całego rodzaju ludzkiego. XIV. Natura rzeczy jest niczem innem jak narodzeniem się jej (nascimento) w pewnym czasie i pewnym sposobem; jakie będą sposoby, takie też a nie inne zawsze będą się tworzyły rzeczy.

Dalej w aksiomatach XVI—XVII zawierają się podstawy późniejszych wniosków o obyczajach, wysnute ze starożytnych zwrotów językowych (szczególnie w łacinie), z prawa XII tablic, z epopei Homera, i z podań ludowych. W XVII zapewnia, że przy świetle tej nowej nauki uczeni będą w stanie utworzyć słownik umysłowy (un vocabolario mentale) spólny dla wszystkich członkowanych języków tak żywych jak martwych. Ostatnie sześć tez zawierają podstawy prawdopodobieństwa i użytemi będą przy okazaniu tego świata ludów w czynach, który poprzednio był pojęty w idei stosownie do filozoficznej metody Bakona Werulamskiego.

Z liczby tez szczególnych czyli specyalnych pięć pierwszych służy do usprawiedliwienia podziału rodzaju ludzkiego na dwie główne grupy. Punktem wyjścia jest historya święta jako najstarożytniejsza, ponieważ zawiera opis stanu rodzinnego (pod patryarchami), kiedy historya świecka nie wspomina o nim wcale lub podaje zaledwie kilka niezrozumiałych wyrazów (XXIII). W XXV twierdzi, że potop powszechny udowadnia się nie dowodami filologicznymi ani astrologicznymi, lecz historyą fizyczną, dostrzegalną w bajkach. W XXVI powiada: „istnieli w przyrodzie olbrzymi ogromnych rozmiarów ciała, podobni do tych dzikich, których podróżnicy znaleźli na końcu Ameryki, w kraju zwanym Patagonią. Pomijając czcze, lub niewłaściwe lub fałszywe powody, przytaczane przez filozofów a powtórzone przez Cassanione (de Gigantibus), istnieją przyczyny tego po części fizyczne, po części moralne, dostrzeżone przez J. Cezara i K. Tacyta, gdy opowiadają o wzroście olbrzymim starożytnych Germanów; zdaniem naszem leżą one w zwierzęcem wychowaniu dzieci." XXVII historya grecka, z której jedynie czerpać możemy wszystkie wskazówki o starożytności, z wyjątkiem Rzymu, zaczyna się od potopu i od olbrzymów. Z dwóch tych względów wynika, że pierwotny rodzaj ludzki dzielił się na dwa podziały: olbrzymów i ludzi zwyczajnej budowy ciała; tamci byli poganami (gentili), ci zaś zwali się Hebreami. Różnica ta mogła wyniknąć tylko z wychowania — u tamtych zwierzęcego, u tych zaś ludzkiego; a zatem Hebreowie byli wcale innego pochodzenia, niż poganie. Dalej oznacza autor zasady teologii praktycznej, czyli początki bałwochwalstwa, wieszczbiarstwa i ofiar, zasady mytologii historycznej; zasady poetyki czyli cechy bajek, poetycznych pomysłów, poetycznej mowy etc: Tu zanotujemy tezy LVIII, LIX i LX: niemowa wydaje dźwięki niewyraźne, połączone z rodzajem spiewu; zająkliwi mogą rozwiązać swój język tylko za pomocą śpiewu. W wielkich namiętnościach spiew przynosi ulgę, jak to spostrzegamy przy wybuchach boleści lub radości. Jeżeli więc pierwsi ludzie świata pogańskiego popadli w stan zbydlęcenia i zaniemówili na podobieństwo zwierząt, można przypuścić, że z tego milczenia mogły ich wyrwać tylko najgwałtowniejsze namiętności i że przez śpiew wytworzyły się pierwsze języki. Język każdy musiał pierwotnie zaczynać swój rozwój od dźwięków jednozgłoskowych. W LXII. przypuszcza, iż wszystkie narody używały naprzód mowy wierszowanej a potem prozaicznej. LXIII—LXV zawierają zasady etymologiczne, że porządek idei powinien odpowiadać porządkowi rzeczy, tj. naprzód istniały lasy, potem chaty, dalej wsie, następnie miasta a na końcu powstają akademie; historya języków ludowych rozwija się w tym samym porządku (przykład na wyrazie lex)

(C. d. n.)

OBRAZEK PARYZKI.

(Z FRANCUSKIEGO).

Rano robotnicy przyszli do fabryki, lecz fabryka była milcząca i pusta.

W głębi wielkiej sali maszyna stoi jak martwa... koła jej są nieruchome.

Ona to, jak olbrzymie serce, ożywiała dotychczas cały ten gmach wielki.

Właściciel fabryki wyszedł z gabinetu i rzekł do robotników smutnym głosem:

— Moje dzieci — już nie mamy nic do roboty, zamówienia nie nadchodzą — dostawa towarów wstrzymana. Miesiąc grudzień, na który najwięcej liczyłem, rujnuje tego roku najbogatsze firmy. Musimy zawiesić robotę.

Widząc, że robotnicy trwożliwie spoglądają

po sobie, jakby już widząc przed sobą widmo zbliżającego się głodu, rzekł do nich z cicha:

— Przysięgam wam, że egoistą nie jestem. Moje położenie straszniejszem jest jeszcze, niż wasze. Straciłem pięćdziesiąt tysięcy franków w jednym tygodniu... Wstrzymuję robotę, gdyż na piętnastego nie miałbym wam czem za nią zapłacić. Wszak widzicie, że mówię z wami po przyjacielsku, otwarcie. Może już jutro przyjdą tu woźni z pozwami... ale nie nasza w tem wina... wiecie to sami najlepiej... walczyliśmy bowiem do ostatka... pragnąłbym dopomódz wam w tem trudnem położeniu, lecz jestem bezsilny... nie mam czem podzielić się z wami.

Podał im rękę.

Robotnicy uścisnęli ją w milczeniu.

Chwilę stali nieruchomi, patrząc na maszynę i warstaty, tak bardzo jeszcze ożywione wczoraj, a dziś.., martwe i bezużyteczne sprzęty...

Codziennie o tej porze zgrzytały tutaj pilniki, młotki odzywały się wesoło, a dziś wszystko milczy, jak gdyby pogrążone w śnie głębokim... w śnie śmierci...

Kilkadziesiąt rodzin pozostało bez chleba.

Kobiety mają łzy w oczach, mężczyźni pragną okazać większą stanowczość i siłę.

Pocieszają się myślą, że w Paryżu nie można umrzeć z głodu.

Gdy właściciel odszedł, patrzą za nim w milczeniu.

Widzą, że jeden tydzień niepowodzenia zrujnował go i zgnębił i odchodzą z fabryki, tłumiąc oddech, z gardłem ściśniętem, ze łzami w oczach, jakby wychodzili z pokoju trupa.

Trupem tym jest maszyna, której żelazny szkielet ponuro rysuje się w cieniu.

. . . .

Robotnik znalazł się na bruku. Przez cały tydzień przebiegał ulice, szukając zarobku... napróżno.

Chodził od domu do domu, gotów zgodzić się do najcięższej, najtrudniejszej pracy.

Znalazł wszakże wszędzie drzwi zamknięte. Wówczas chciał pracować za pół ceny — ale i tej ofiary nie przyjęto.

„Bezrobocie!“ straszny ten wyraz, jak głos pogrzebowego dzwonu, odezwał się w nędznych izdebkach na strychu...

Strach paniczny ogarnął przemysłowców — roboty nie ma — a pieniądz, ten marny pieniądz schował się gdzieś w ukryciu...

Po tygodniu już wszystko przepadło.

Robotnik wraca do domu powoli, przygnębiony i złamany. Wraca z próżnemi rękami.

Deszcz pada — Paryż wygląda jak grób. On idzie wśród ulewy i nie czuje jej wcale, — czuje tylko głód i lęka się powrócić do domu z próżnemi rękami.

Przechylił się nad poręczą mostu.

Wezbrane wody Sekwany płynęły, hucząc i szemrząc groźnie, a olbrzymie filary mostu kąpały się w pianie białej.

Robotnik pochyla się nad poręczą i patrzy... Fala rzuca mu groźne wyzwanie...

Zawahał się chwilkę i wyrzekł z cicha: nie jestem nikczemnym! poczem oddalił się spiesznie.

Deszcz przestał padać. Olśniewające płomienie gazu w wystawach jubilerskich sklepów igrały z brylantami i złotem.

Gdyby stłukł szybę, zabrałby w jedną rękę dość chleba na całe lata...

Lecz jest uczciwym jeszcze.

Restauracye kipią życiem. Przez białe muślinowe firanki widać biesiadników i smakoszów zajadających z apetytem.

Łakomy Paryż — syty Paryż nie zważa na głodnego biedaka.

Żona i córka robotnika płakały dziś rano, gdy im ojciec obiecał przynieść chleba na wieczór.

Nie śmie więc wrócić do domu i powiedzieć, że kłamał.

Cóż im powie, gdy wróci — w jaki sposób zachęci je do cierpliwego wyczekiwania.

On silny — może się opierać głodowi, ale żona jego chorowita... dziecko wynędzniałe...

Chwilowo zdaje mu się, że będzie mógł żebrać... Lecz gdy przechodzi obok jakiego pana i gdy już ma rękę wyciągnąć, wówczas ramię odmawia mu posłuszeństwa, a gardło ściska się kurczowo...

Nie łatwo zostać żebrakiem.

Stoi na bruku jak skamieniały, przyzwoici ludzie odwracają się od niego, sądząc, że widzą pijaka.

. . . .

Mała usnęła, a żona robotnika wyszła z domu.

Jest to wychudła kobieta w lekkiej perkalikowej sukni. Drży od zimna, stojąc na mroźnym wietrze i dzwoni zębami... Nie ma już nic w mieszkaniu, gdyż zaniosła wszystko do lombardu.

Tydzień bez zarobku i dochodu wystarcza zupełnie do opustoszenia domu.

Wczoraj jeszcze sprzedała tandeciarzowi ostatnią garść wełny z materaca, — cały materac poszedł w ten sposób w obce ręce, pozostało już tylko płótno...

Rozwiesiła je w oknie, ażeby zimno nie dostawało się do mieszkania, gdyż mała ma silny kaszel.

Nie mówiąc nic mężowi, sama starała się także o zarobek. Lecz bezrobocie dotknęło jeszcze boleśniej kobiety, niż mężczyzn. Niejedna z nich płacze po całych nocach — napróżno.

Spotkała dziś jednę ze swych znajomych stojącą na ulicy, inna umarła, a jedna zginęła niewiadomo gdzie...

Ona szczęśliwa, gdyż ma trzeźwego męża. Byłoby im zupełnie dobrze, lecz ciężkie czasy i brak zarobku są przyczyną ich zguby. Wyczerpała już kredyt, zadłużyła się u piekarza i w sklepiku, nie śmie już przechodzić tamtędy.

Dziś po południu poszła do siostry, ażeby pożyczyć od niej dwadzieścia sous, lecz znalazła tam taką nędzę, że sama, również nieszczęśliwa, rozpłakała się z żalu.

Obie, nie mówiąc nic do siebie, płakały razem.

Potem odchodząc, obiecała podzielić się z nią kawałkiem chleba, jeżeli mąż nie wróci do domu z próżnemi rękoma.

Lecz on nie wraca.

Deszcz pada, trzeba wrócić do bramy. Deszcz przemoczył jej suknię i obuwie.

Po chwili niecierpliwość ogarniać ją zaczyna; wychodzi i nie zważając na deszcz ulewny, idzie do rogu ulicy, patrząc, czy nie nadchodzi ten, na którego czeka.

Potem wraca zmoczona i zziębnięta, ociera włosy, cierpliwa jeszcze i wytrwała. Dreszcz febryczny wstrząsa nią od czasu do czasu. Przechodnie potrącają ją łokciami. Stara się zajmować jak najmniej miejsca, ażeby nie przeszkadzać nikomu.

Mężczyźni zaglądają jej w oczy, czuje na swej twarzy spojrzenia impertynenckie... bezczelne.

Cały ten podejrzany Paryż, zabłocona ulica, jasność płynąca ze sklepów, turkot powozów wszystko to wydaje jej się czemś strasznem chcącem ją pochwycić i wrzucić w otchłań bezdenną.

Naprzeciwko jest piekarnia. — Biedna matka z chciwością tam spogląda, myśląc o małej, którą zostawiła śpiącą w ubogiem mieszkaniu.

Nareszcie spostrzega męża, który skrada się idąc, jak złoczyńca lub złodziej...

Biegnie ku niemu i patrzy nań z trwogą.

— I cóż? — szepcze cicho.

On nic nie odpowiada i spuszcza głowę na piersi. Kobieta powraca do domu, blada jak widmo śmiertelne...

. . . .

Mała już nie spi. Obudziła się i marzy, patrząc na świecę, konającą na rogu stołu. Któż odgadnie, co za straszne obrazy snują się przed oczyma tej siedmioletniej dziewczynki, o zwiędłej wynędzniałej twarzy.

Siedzi ona na kuferku, który jej zastępuje łóżko.

Jej bose nóżki spadają zziębnięte ku ziemi, a małe rączyny, jak u lalki, przytrzymują łachmany, okrywające jej drobną postać.

Czuje ona tam w piersiach dziwny ogień, który chciałaby stłumić, zagasić... Marzy...

Nie miała nigdy zabawek. Nie może iść do szkoły, gdyż nie ma trzewików. Pamięta, że gdy była małą, matka wynosiła ją na słońce... Ale to było tak daleko!

Potem trzeba było wyprowadzić się ztamtąd i zdaje jej się, że od tego czasu wielkie jakieś zimno zawiało w ich domu. Od tej pory nie była nigdy wesołą i zadowoloną, głód jej zawsze dokuczał. Uderza ją pytanie, którego nie jest w stanie rozwiązać: Czy wszyscy ludzie są głodni?

Wszakże ona starała się przyzwyczaić do tego, a nie może...

Potem myśli, że teraz jest jeszcze małą dziewczynką i dlatego nie rozumie tej kwestyi, lecz gdy podrośnie zapewne potrafi to sobie wytłómaczyć.

Matka musi o tem wiedzieć.

Gdyby śmiała, zadałaby jej pytanie: kto rzuca ludzi na świat, ażeby byli głodni?

Tutaj u nich tak brzydko! Patrzy w okno, tam płótno z materaca poruszane wiatrem uderza w szyby, gołe ściany, obdarte graty, nędza poddasza zniszczonego przez brak pracy.

Zdaje jej się, że w swej nieświadomości widziała kiedyś we śnie ciepłe pokoje, pełne bogatych błyszczących przedmiotów. Zamyka oczy, ażeby znów ujrzeć te cuda i przez sine, przezroczyste prawie powieki światło dogorywającej lampki wydaje jej się odblaskiem srebra i złota, do którego zbliżyć się pragnie.

Lecz wiatr, wzmagając się coraz bardziej, wpada oknem do mieszkania i kaszel porywa biedną dziewczynkę.

Ma oczy pełne łez...

Dawniej bała się, gdy ją zostawiono samą w mieszkaniu, teraz jest jej to zupełnie obojętne.

Ponieważ nie jadły nic od wczoraj, dziewczynka sądzi, że matka poszła do pobliskiej piekarni.

Ta myśl bawi ją i zajmuje.

Podzieli chleb na maleńkie kawałki i będzie jadła powoli jeden po drugim. Pobawi się chlebem...

Matka weszła, ojciec zamknął drzwi w milczeniu.

Dziewczynka zdziwiona patrzy na ich ręce

A ponieważ oboje nie mówią ani słowa, powtarza, nucąc z cicha:

— Chce mi się jeść! jeść mi się chce!

Ojciec schwycił się za głowę i usiadł w kącie.

Siedzi tam zgnębiony i złamany, a tłumione łkanie wstrząsa nim co chwila.

Matka połyka łzy cisnące się gwałtem do oczów i chce uspić małą.

Przykrywa ją wszystkimi łachmanami, jakie tylko znajdują się w mieszkaniu i prosi, żeby usnęła i była grzeczna.

Lecz dziewczynka dzwoni zębami od zimna i czując ogień palący ją w piersiach, staje się nadzwyczaj śmiałą.

Obejmuje szyję matki i pyta cichutko:

— Powiedz mi, mamo, dlaczego jesteśmy głodni?...

(C. d. n.)
por s. 320

WIARA W DUCHY

ZA NASZYCH CZASÓW

napisał
B. Kiewlicz.

Co? Wiara w duchy?!.. Pukanie stolików za naszych pozytywnych czasów? Miałyżby fantastyczne upiory, które nas przez tyle wieków niepokoiły pod najrozmaitszemi postaciami jeszcze teraz nie dawać nam chwili odpoczynku, teraz, w epoce lokomotyw, telegrafów, telefonów i... torpedów? Jużeśmy się byli uspokoili, i zaniechali mody wirujących stolików, pukających stołów i piszących ekierek od lat kilkunastu. Zdawałoby się, że już zabrakło materyału do tej nieskończonej kołowacizny, i że wirujące stoliki stały się tylko przedmiotem zajęcia dla głupców, a poważni ludzie jeśli kiedy przykładali ręce do tego błazeństwa, to milczą o tem i starają się z tem jak najmniej wygadywać.

A jednak, niestety! tak nie jest. Na dalekim zachodzie tworzy się falanga zagorzałych zwolenników spirytyzmu, która rośnie jak lawina, z młodej republiki amerykańskiej leci ku nam i znajduje coraz więcej zwolenników we wszystkich sferach społecznych, poczynając od łatwych do przekonania prostaczków, a kończąc na... zgadnijcie... na tegoczesnych gwiazdach naukowych pierwszego rzędu.

To odnowienie się wiary w duchy, która jak się zdawało, już raz na zawsze upadła, jest jednak godnym uwagi objawem czasu, jest wielką chorobą, która epidemicznie rozsiewa się na wszystkie strony, a od której, na szczęście społeczeństwo nasze jest jeszcze zupełnie wolne.

Że jest to choroba epidemiczna, dość jest przypatrzyć się jej rozwojowi w Ameryce, gdzie nad całemi olbrzymiemi massami zdołała zapanować, i coraz szerzej i dalej zapuszcza swe szpony.

Źródło tego odżycia wiary w duchy wytrysło w Stanach Ameryki północnej. Zaczęto wierzyć, że pukania i ruszania się stolików są wywołane duchami, zaczęto w pukaniach słyszeć mowę tych duchów; rzecz dziwna, nogom stołowym oddano ważną funkcyę wypowiadania mądrości świata pozagrobowego. Około roku czterdziestego, wiara ta silnie się upowszechniła i jej adepci nazwali się spirytystami, a osoby, które miały być obdarzone szczególnym talentem porozumiewania się z duchami, *mediami* tj. pośrednikami. Około r. 1850 takich mediów, według wykazów stowarzyszeń spirytystycznych miało być w Ameryce już około 30.000. W r. 1854 podano do Senatu memoryał zaopatrzony w 13.000 podpisów obywateli amerykańskich, pomiędzy któremi były osoby zajmujące najwyższe w kraju stanowiska, jak np. gubernator stanu Visconsin, żądający bliższego zbadania zjawisk spirytystycznych. W tym memoryale opisywano najdziwaczniejsze zjawiska, których podpisani byli świadkami, i żądano wyznaczenia komisyi, któraby rozstrzygnęła, czy tu wchodzą w grę duchy, czy też ma się do czynienia z nieznanemi dotychczas siłami fizycznemi. Za naszych czasów liczba spirytystów urosła tam olbrzymio i stowarzyszenia liczą do kilku milionów członków. W każdem mieście i miasteczku jest kilka kółek, które się temi dziwacznemi sprawami zajmują. Spirytyzm w Ameryce stał się pewnym rodzajem religii, a przynajmniej, w zawikłanych tamtejszych stosunkach, pochodzących z mięszaniny sekt najrozmaitszych, zajmuje bardzo wybitne stanowisko.

Przed laty kilkunastu zaczął się i w Europie, szczególniej w Anglii, szerzyć spirytyzm rozpowszechniony przez media słynne, a głównie przez p. Home, który w tym celu przybył do Europy. I tu na tym naszym starym gruncie po nad wszelkie oczekiwanie znalazł jak można najlepsze przyjęcie. Angielskie miasta stały się polem popisu dla medyów przybywających z Ameryki, i potworzyły się liczne stowarzyszenia, rozszerzające swą propagatorską działalność na wszystkie strony.

Można byłoby ze śmiechem i z pogardą patrzeć na ten ruch umysłów, gdyby zwolennikami jego byli ludzie niewykształceni i łatwowierni. Ale tymczasem po pewnym czasie, ujrzeliśmy, nad wszelkie spodziewanie, w ściśnionych szeregach spirytystów, ludzi których imiona świat naukowy ze czcią powtarza i którzy stoją na czele tej rzeszy, która niesie w swem ręku pochodnię światła i nauki. Ze smutkiem spostrzegliśmy w tym tłumie zwolenników spirytyzmu imiona takie, jak *Richarda Wallace*, prezesa londyńskiego towarzystwa zoologicznego i poprzednika Darwina, *Hugginsa*, jednego z pierwszych żyjących astronomów, *Varleya*, jednej z największych powag w dziedzinie elektryczności, *Crookesa*, słynnego odkrywcy pierwiastka talu i radiometru, *Buttlerowa*, znanego chemika rossyjskiego, *Perty*, profesora fizyologii na uniwersytecie berneńskim i wiele innych poważnych i szanowanych.

I chociaż ze śmiechem politowania patrzymy na tłum prostaczków, w te baśnie wierzących, to jednak udział tych imion nasuwa nam myśli bardzo poważne i wcale do śmiechu nie usposabiające, i zachęca nas do bliższego przypatrzenia się całej sprawie.

A więc, szanowni czytelnicy, raczcie wejść ze mną na chwilę w głąb tego labiryntu, który co do swej barwy ma coś z tajemnic świątyni egipskiej i coś ze... szpitala waryatów!

W r. 1867 zostało założonem w Londynie tak zwane „Dialektyczne towarzystwo“, którego członkowie należeli do sfer wyższej inteligencyi i nauki w Londynie. Zadaniem tego towarzystwa było według ich własnego określenia: „badanie filozoficzne wszystkich zagadnień, szczególniej tych, które właśnie dzielą ludzkość na obozy, i to w sposób dążący do odkrycia i rozjaśnienia prawdy“. W dyskusyi na posiedzeniach tego towarzystwa dozwoloną jest najzupełniejsza swoboda w wypowiadaniu zdania i to nawet o przedmiotach, które zwyczajnie tylko z wielką restrykcyą gdzieindziej poruszane bywają. Oto niektóre charakterystyczne temata, które tam były poruszane: „wiarogodność cudów“, „czy samobójstwo jest w niektórych wypadkach usprawiedliwione“, „historyczna i moralna wartość biblii“ i t. p.

Towarzystwo składa się przeważnie z ludzi postępowych i o zupełnej swobodzie myślenia, chociaż żadna opinia osobista nie przeszkadza do zapisania się na listę członków towarzystwa. Niektóre imiona wystarczą do scharakteryzowania ogólnego składu członków. Należy tam między innymi Sir John Lubbock członek parlamentu, słynny antropolog; jest on prezesem towarzystwa, a jego dzieło „Początki cywilizacyi“ zostało na polski język przełożone. Pomiędzy wiceprezesami spotykamy takie imiona jak lorda Amberley, prof. Huxley, Mr. G. H. Lewes i Ms. Frances Power Cobbe.

W programie towarzystwa znajdujemy ustęp następujący:

„Towarzystwo dyalektyczne zdziała wiele dobrego, jeśli tylko przekona ludzi o tem, że ślepa wiara jest rzeczą niegodną istoty rozsądnej, i że jedyną metodą dojścia do prawdy, jest poddawanie wszystkich przekonań surowej i nic nie oszczędzającej krytyce. Swoboda mówienia i myślenia (niemniej jak wolność osobista) jest przyrodzonem prawem ludzkości. Ukrywanie swych przekonań z powodu, że nie są one popularnemi, zdradza pewien stopień moralnego tchórzostwa, które się wyrodziło wskutek długo trwającego prześladowania. Nieustraszone obstawanie przy prawdzie, albo przy tem, co za prawdę uważamy, nawet gdy ona jest za prawdę przez niewielu uważaną, należy do tych, którzy sądzą, iż rozszerzenie wiedzy ludzkiej jest obowiązkiem, a głośne wypowiadanie swych sądów prawem. Lecz społeczeństwo ludzkie jeszcze nie stanęło na takim stopniu rozwoju, żeby można było wszystko wypowiadać bez ściągnięcia na siebie mniej lub więcej przykrych opinii. Wskutek tego ludzie unikają wypowiadania swych przekonań, które mogłyby być zmienionemi, jeśli są błędne, a przyjętemi ogólnie, jeśli są prawdziwemi. W towarzystwie dyalektycznem każda osoba nietylko że nie będzie poniewieraną za wygłoszone zdanie, lecz owszem będzie zachęcaną do wypowiadania swym współtowarzyszom najszczerszych przekonań...

Przypomnijmy sobie ten fakt, że przez cały przebieg historyi głos powag powstawał zwykle przeciw nowym prawdom... więc my, w zupełnej świadomości honoru i czystości, dążyć będziemy do prawdy, nie zważając ani na nagany powag, ani też na pochwały tłumów“.

Przytoczyliśmy tych kilka rysów towarzystwa, aby pokazać, jak ważne znaczenie musiało mieć orzeczenie tego towarzystwa w sprawie spirytyzmu.

Otóż na jednem z posiedzeń towarzystwa podniesioną została sprawa co raz bardziej szerzącego się w Anglii spirytyzmu. Jeden z członków, lekarz, zdawał sprawę z nadzwyczaj dziwnych, przechodzących jego pojęcie fenomenów, których sam był świadkiem. To co mówił, zostało potwierdzonem przez dwóch obecnych członków towarzystwa i na poparcie prawdziwości, przytoczono znakomite w nauce imiona osób, które wierzą w istnienie podobnego rodzaju fenomenów.

Wywiązała się nadzwyczaj ostra i ożywiona dyskusya, w której spirytualiści okazali się w mizernej mniejszości. Nareszcie postanowiono dla zbadania tej kwestyi wybrać komisyę, którejby zadaniem było: „zbadać tak zwane duchowe fenomena i zdać z nich sprawę towarzystwu". Wybrano komitet złożony z trzydziestu członków, w skład którego weszli lekarze, przyrodnicy, inżynierowie, ba! nawet księża. Komitet ten stanowił piątą część towarzystwa i można rzec, iż reprezentował je w sposób odpowiedni. Prawie nikt z członków tego komitetu nie wierzył w istnienie spirytystycznych fenomenów.

Komitet rozpoczął swoję czynność od dokładnego zbadania tego, co inne osoby o widzianych przez siebie fenomenach opowiadały. Świadkowie byli przesłuchiwani w sposób o ile można najdokładniejszy. Potworzono wreszcie w komitecie podkomitety, które się zajmowały doświadczalnem badaniem zjawisk spirytystycznych.

Komitet badał przez dwa lata.

Cały świat naukowy oczekiwał nareszcie dokładnego zbadania sprawy i wykazania oszustw najrozmaitszych. Dosyć już było tego; i spirytyzm tracić zaczynał na popularności. Wszyscy żądali, żeby choć raz nakoniec wzięło się jakieś koło poważne do pracy i odkryło prawdę całko witą. Arogancya i bezczelność panów wywoływaczy duchów rosła w sposób zadziwiający. Był już czas, żeby całej historyi tej zadać cios ostateczny.

Nareszcie podano obszerne sprawozdanie z protokołami, i proszę sobie wyobrazić ogólne zdziwienie—sprawozdanie to wypadło przychylnie dla spirytyzmu. (C. d. n.)

TELEFON.

ODCZYT PUBLICZNY

BRUNONA ABAKANOWICZA,

miany dnia 16. grudnia 1877 w głównej sali laboratoryum chemicznego lwowskiej szkoły politechnicznej.

(Ciąg dalszy.)

Opierając się na tej własności Filip Reiss z Friedrichsdorfu zbudował jeszcze w r 1861 pierwszy telefon. pierwszy przyrząd do przesyłania dźwięków na wielką odległość za pomocą elektryczności. Taki telefon mamy tu właśnie przed sobą. Składa się on z dwóch przyrządów, z których jeden *wysyłacz* znajduje się na stacyi, z której depesza w dźwiękach wyrażona odchodzi, drugi *odbieracz* na stacyi odbierającej te dźwięki.

Wysyłacz składa się z pudła, zrobionego z suchego drzewa, które w jednej ze swoich ścianek ma wstawioną, krótką, szeroko zakończoną rurę Na górnej części pudła rozpięta jest błona sprężysta. Jeżeli do tej rury zaśpiewamy, to powietrze wewnątrz pudła drgać zaczyna, a razem z niem i błona na pudle napięta. Błona ta za uderzeniem każdej fali głosowej podnosi się w górę, a potem upada na dół; następna fala podnosi ją do góry, ruch ten powtarza się i w ten sposób błona wykonywa tyle drgań, ile i powietrze. Do środka błony napiętej idzie blaszka, której jeden koniec połączony jest z bateryą elektryczną, a po nad częścią blaszki, znajdującą się w samym środku napiętej błony, umocowane jest ostrze metalowe, połączone z drugim drutem bateryi. W zwykłym stanie ostrze i blaszka na błonce nie mają z sobą żadnej styczności i w ten sposób oba druty idące do bateryi nie są z sobą złączone. Skoro zaś tylko błona od dźwięków głosu drgać zaczyna, w tych drganiach bierze udział blaszka, która przy podniesieniu się błony do góry dotyka ostrza, a przy jej opadnięciu odrywa się od niego. W chwili dotknięcia baterya jest zamknięta i prąd elektryczny przebiega po drucie. Po oderwaniu prądu nie ma. W ten sposób przez drut przebiega prąd elektryczny, który co chwila jest przerywanym, i to tyle razy, ile razy drgnie błona. Jeżeli więc teraz nawiniemy ten drut około cewki, wewnątrz której znajduje się ten oto pręcik z miękkiego żelaza, to pręcik ten staje się magnesem, gdy prąd przebiega, i znów traci tę własność w chwili przerwy. Wskutek tych szybko po sobie następujących namagnesowywań i odmagnesowywań, pręcik ten wydawać zaczyna ton, którego wysokość odpowiednią jest ilości drgań na sekundę.

Ponieważ cewkę naszą drutem owiniętą możemy zostawić w dowolnej odległości, więc też i na dowolną odległość przesyłać możemy dźwięki za pomocą tego telefonu Reissa, najpierwszego ze wszystkich znanych telefonów.

Za pomocą tego przyrządu tony muzyki przenoszą się na drugą stacyę bez żadnej zmiany co do wysokości, jednak ton w odbieraczu otrzymuje się brzęczący i zupełnie niepodobny do tonu, który drganiu błony na pierwszej stacyi wywoływał. Nie możemy wcale odróżnić, czy dźwięki słyszane pochodzą od śpiewu, czy od skrzypiec, fletu lub też gitary.

Inne telefony, które później zostały wynalezione przez pp. Varleya, La Cour'a i Graya, polegają na podobnej zasadzie i w żadnym z nich nie można odróżnić, od jakiego instrumentu pochodzą tony w odbieraczu słyszane.

Otóż nasuwa się nam teraz pytanie, czem właściwie różnią się tony wydawane przez różne instrumenta, głosy ludzkie lub zwierzęce? Czem się naprzykład różni ton, jeden i ten sam co do wysokości, wydawany przez tę oto uderzoną przezemnie strunę, tę piszczałkę i ten kamerton. Wszystkie te głosy przeniesione za pomocą telefonu Reissa na drugą stacyę nie różniłyby się niczem od siebie.

Otóż tony różnią się tem, co Francuzi nazywają *timbre*, Niemcy *Klangfarbe*, a co w polskim języku *barwą* głosu nazywamy. Żeby poznać na czem zależy ta barwa, musimy wrócić na chwilę do naszej drgającej struny.

Uderzam znowu tę napiętą strunę, która drgać zaczyna, i to w ten sposób, że raz przyjmuje postać wychyloną do góry, drugi raz na dół. Jeżeli uważnie i wprawnym uchem wsłuchamy się w dźwięk tej struny, to usłyszymy obok tonu zasadniczego, który nam oznacza stanowisko, które ta struna w szeregu tonów zajmuje, inne, zaledwie dosłyszalne tony, wyżej nastrojone, na które zwykle nie zwracamy uwagi. Otóż te *tony wyższe* są różne w rozmaitych instrumentach i one to stanowią barwę właściwą tonu. Inne tony górne ma drgająca struna, inne piszczałka, a inne znowuż kamerton.

Przyczynę powstawania tych tonów wyższych łatwo wytłumaczyć sobie zdołamy, jeżeli tylko uprzytomnimy, w jaki sposób drga każdy z instrumentów ton wydających. Zostańmy przy naszym dawnym przykładzie, przy strunie napiętej.

Otóż struna ta oprócz drgania głównego, które się odbywa w całej jej długości, odbywa jeszcze drgania uboczne. Dzieli się na kilka części, z których każda drga osobno wywołując tony wyższe. Tony wydawane przez te drgania uboczne są wyższe, gdyż struna jest podzielona na kilka części drgających osobno, a wiadomo, że jeżeli struna przy tem samem natężeniu jest krótszą, to wydaje ton wyższy. W ten sam sposób struna podzielić się może jeszcze na więcej części i otrzymamy jednocześnie jeszcze więcej górnych tonów.

Jeżeliby struna drgała jako całość i nie dzieliła się przytem na części, a zdołalibyśmy jednocześnie odjąć wyższe tony u piszczałki i u kamertonu, to niczem nie zdołalibyśmy odróżnić jednego instrumentu od drugiego. Właśnie to przymięszanie górnych tonów pozwala nam odróżniać instrumenta i ono stanowi ich barwę.

Jeżeli zamiast struny wyobrazimy sobie błonę napiętą, taką np. jak błona ucha naszego, to rzecz się będzie miała w sposób zupełnie podobny. Błona będzie drgała jako całość i będzie wydawała ton zasadniczy, ale obok tego podzieli się na części, które będą wydawały tony górne, stanowiące barwę. Jeżeli więc śpiewamy przed jakąkolwiek napiętą błoną, to fale powietrza, które śpiewem wzbudzamy, będą oddawały najdokładniej wszystkie tony górne, które się w ludzkim śpiewie znajdują. Błona w czasie śpiewu tak drgać będzie, tak się wyginać, że powierzchnia jej przyjmować będzie kształt skomplikowany, falisty, odpowiedni wszystkim dźwiękom w mowie ludzkiej się znajdującym.

Te kilka słów, objaśniających barwę głosu, potrzebne nam będą do wytłumaczenia sobie telefonu Bella, który właśnie ma tę własność, że przenosi oprócz tonów zasadniczych i tony górne, a więc przenosi barwę tych tonów. A telefon mający tę własność, jak się przekonamy później, przenosić może i dźwięki ludzkiej mowy.

Zanim jednak przejdziemy do szczegółowego opisu tego telefonu, zanim podamy jego teoryę, musimy jeszcze w kilku słowach objaśnić, w jaki sposób w tym przyrządzie powstają prądy elektryczne, gdyż przyrząd ten nie potrzebuje, jak wszystkie inne telefony, stosu elektrycznego, i prąd, przenoszący dźwięki po drucie, głosem mówiącego jest wywoływany.

Mam tutaj przed sobą cewkę, obwiniętą drutem miedzianym, który jest okręcony jedwabiem. Do wnętrza tej cewki wkładam magnes. Jeżeli teraz wsadzę oba końce drutu do przyrządu zwanego galwanometrem, to mogę na tym przyrządzie zobaczyć, czy przez drut przebiega prąd elektryczny. Nawet bardzo słabe prądy elektryczne odchylają na bok igiełkę z jej pierwotnego położenia. Otóż trzymam teraz w ręku kawałek żelaza miękkiego i przybliżam go do bieguna magnesu znajdującego się w cewce. Igiełka galwanometru odchyla się na bok i wskazuje mi istnienie prądu. Oddalam szybko żelazo i galwanometr znowu prąd wskazuje. Przy każdem mojem zbliżaniu i oddalaniu powstają prądy, których natężenie jest proporcyonalne do mniejszego lub większego przybliżenia. Jeżeli przybliżam i oddalam to żelazo bez przerwy, to bez przerwy przebiegają przez drut prądy, których siła odpowiada prędkości i odległości zbliżania, i igiełka odbywa ciągłe zboczenia.

(C. d. n.)

SZKICE Z DZIEJÓW FILOZOFII POPULARNEJ
(wiek XVIII)

przez

Dr. Juliana Ochorowicza.

I.
Filozofia kościelna.

(Ciąg dalszy).

Mówiąc o małżeństwie, autor przytacza różne sposoby zawierania tych związków u różnych ludów, opierając się na Plutarchu i innych autorach, których jednak nie cytuje. Są tam szczegóły etnograficzne, które nie raz do śmiechu pobudzają. *Cymbrowie* mieli się zaślubiać w ten sposób, że „kawaler, oberżnąwszy sobie u rąk paznogcie, posyłał do Damy, które jeśli przyjęła i swoje oberżnąwszy posłała mu, mieli sobie za ślub małżeński.“ U *Teutonów* kawaler damie, a dama kawalerowi, głowy sobie golili; chowali takie włosy na pamiątkę i na dowód wierności, co się i dziś jeszcze praktykuje. *Węgrzy* wymieniali między sobą wolnych bożków na znak szlubu. „*Terentowie*, gdy akt weselny naznaczali, w przytomności zaproszonych gości u stołu, powinna była Dama karmić (rozumie się palcami) Kawalera, a Kawaler Damę. Jeżeli zaś z nich która osoba przez omyłkę własną ręką na ten czas jadła, już przez to samo Maryjasz nie doszedł.“

Przytoczywszy te i inne ślubów obrzędy autor dodaje:

„Insze ceremonie opuszczam jako mniej potrzebne i całe grubiańskie; to tylko uważam, że i w pogańskich narodach zawsze ślub odprawiał się przez powierzchowne znaki wewnętrznego zadowolenia obudwu osób. Nad tem się jednak zastanawiam, że lubom tyle czytał sposobów zaszlubin w stan Małżeński; o rozwodach tak częstych albo seperacyach między Pogańskim ludem nie mogłem się doczytać, jak teraz w prawdziwej Wierze Katolickiej widzieć często...“ „Znać w Poganinach niedowiarstwo prostota wspierała, w Chrześcianinach Wiarę psują nieszczerość i machijawelskie wykręty. Rozumieją wielu, że są bezpiecznemi na sumieniu i na Duszy, iż od Stolicy Apostolskiej odebrali z Rzymu dyspensę do rozwodu, ale się bardzo mylą, jeżeli te racye w podaniu supliki nie były prawdziwe. Kościół bowiem św. według powierzchownych rzeczy sądzi, ale wszystko widzący Bóg na skrytości serca patrzy.“

Następują różne wesołe kwestye:

„Czemu też to Ewa nie na jawie, ale we śnie stworzona z Adama?“ Czy nie dla tego „ażeby Pan Bóg pokazał: że Niewiasta, ile ze snu Adama i niedbalstwa zrodzona, nie do pracy, ale tylko do próżnowania służyć może? Albo też dla tego, żeby podobno na jawie Adam żałował był dać kości swojej dla Ewy, która mu potem całe wydarła uszczęśliwienie? Przeczuwała natura Ludzka w Adamie, o niepomyślnym dla siebie sukcesie z przyszłej Żony: więc niby od żalu obumarła czyli prawie śmiertelnie zasnęła. Według bowiem Plutarcha: *Somnus frater mortis.* Sen jest to niby brat śmierci. Póki Adam był wolny, bez Żony, miał zawsze spokojną głowę, był swobodnych myśli; tak dobrze twardo zasnął, że aż sobie odleżał kości. *Tulit unam de costis ejus.* Jakże tylko po ślubie, małżeńskie z Ewą począł życie, już ci go prawie i sen i wesołe odbiegały myśli dla ustawicznych dla Żony wygód: chodzą po Raju, dosyć mają wygodne mieszkanie i Frukta przepyszne, przecież z nich Ewa niekontenta wymawiając Mężowi, że ją tylko samemi Płonkami karmi, strasząc sturbowanego Męża, że się niemi otruje. Trzeba tu koniecznie i zakazanego chwycić się jabłka, bo Żonie do niego apetyt przypadł... I nie był że to ciężki dla Adama kłopot? Wyspał się tedy dobrze przed ślubem pierwszy Małżonek; bo znać przewidział, że po ślubie nie będzie miał tak smacznego spoczynku.“ (str. 47.)

Następuje *Ciekawość pierwsza*: „Co się też na ten czas Adamowi śniło, gdy z niego Pan Bóg stwarzał Ewę?“

„Podobno mu się śniło, jakby grał w kości, bo obudziwszy się z temi zaraz dał się słyszeć słowy: Ta jest kość z kości moich. Domyślił się na jawie, że we śnie jednę kostkę przegrał, *Tulit unam de costis ejus.*“ Ale zarazem to wyrażenie świadczy, że już we śnie wiedział, co z niego Pan Bóg zrobił. Najprawdopodobniej zaś musiało mu się śnić wówczas już wcielenie słowa Boskiego i tem się pocieszał.

Jak widzimy, autor, mimo ustępu wymownie płci niewieściej broniącego, ciągle się z przekąsem o jej wartości odzywa. W jednem miejscu (str. 52) powiada nawet: może też „Pan Bóg przewidział, iż Niewiasta ani światu potrzebna jest, ani Mężowi Adamowi pożyteczna“ i dla tego nie stworzył jej odrazu, „dopiero Adam, gdy się przypatrując inszym zwierzętom, postrzegł, że są wszystkie parzyste; sam tylko jeden nie miał równej partyi, musiał się znać przymówić Stwórcy, że ciężko na niego samego było tak obszernego pilnować i sprawiać Raju, więc na jego prośbę przydał ku pomocy Ewę. Jakoż mu w krótkim czasie pomogła zakazanego zrywać i zjadać Fruktu; o zobopólnej zaś pracy ani wspomina Pismo Boże.“

Zachodzi jeszcze kwestya jakie też to jabłko było, które zerwała Ewa?

„Musiało być *winne*, bo go skosztowawszy Matka nasza Ewa, zaraz się skrzywiła...“ „Winne musiało być i z tej przyczyny, bo cały Naród ludzki *obwiniło* wiecznie (str. 56). A wszystkiemu temu po części winien i Adam, bo „gdyby był miał Ewę w lepszej edukacyi i pilnem staraniu, nie zabawiałaby się była próżnowaniem, a zatem i długiemi dyskursami z wężem.“ Ale dla czego też dyabeł nie w innej postaci, tylko w wężowej objawił się Ewie? Oto dla tego, że „przed grzechem popełnionym, wąż bardziej niżeli teraz Boński piesek miał konfidencyę do Ewy.“ Zkądże jednak mógł *mówić* wąż, kiedy bydlęta mowy nie mają?

„Bazyli św., *orat. de Paradisio*, był tego zdania, że przed popełnionym grzechem pierworodnym, mówiły bestye w Raju, o czem żadnej nie masz wiadomości, ani z Pisma, ani z doświadczenia. O dwu tylko zwierzętach wspomina Pismo, że mówiły; Wąż do Ewy w Raju i Oślica do Balaama Proroka: Wąż przez dyabła, Oślica przez Anioła... Nie masz jednak w tem nic niepodobnego, żeby bestye mówić mogły, gdyż i teraz widzimy, że papugi i sroki wyuczyć się mogą słów kilka; a czemuż nie mogły i wszystkie mówić! wszakże im natura niektóre początki do tego dała, ponieważ każda bestya ma na podobieństwo głosu ludzkiego skład jakowyś lubo niedoskonały; w tem tylko jest trudność o wężu z naturalnej nauki, że płuców nie ma; według zaś doświadczenia Aristotelesowego, zwierzę, które płuców nie ma, żadnego nie ma głosu, chyba szeptanie jedne albo odetchnienie. I tak, że ryby nie mają płuców, nie wydają żadnego głosu, ponieważ płuca według Anatomików mają tę trojaką osobliwszą funkcyą: wiać na gorącość serca, czynić odetchnienie i zabrawszy duch powietrza w siebie wydawać głosy, i dla tego: gdy się kto zatchnie, mówić nie może, wąż zaś podobny jest do węgorza, nie ma żadnych płuców, toż ani mógł mieć mowy. Jeżeliby zaś kto w wężu wynalazł płuca jakowe i z Bazylim św. tego zdania był, że bestye mówiły w Raju, nie dziw, że się Ewa jego nie przelękła mowy. W tem jednak zdaniu Doktora św. potrzeba być ostrożnym, jakoby miały mówić bestye *rozumnie, et loquntur sensate*, bobyśmy przyznać musieli, że mają rozumną duszę. Gdyż każde zwierzę, jako według pojęcia Duszy swojej rzeczy pojmuje, tak i o nich mówić może, a że tylko pojmuje przez zmysły materyalne i fantazyi objaśnienie, tak też i w tem zdaniu Bazylego św. o rozmowie bestyi rozumieć potrzeba: jeżeliby [illegible], to właśnie jak pijany człowiek, albo we śnie. Utwierdzając zaś to zdanie Ojca św., może się ztąd dowodzić, że jako teraz pies insze wydaje głosy, gdy mu się jeść chce, insze gdy się raduje, insze gdy się gniewa, albo zamknięty tęskni, takby i w stanie niewinnym“ (pies w stanie niewinnym!) „mówił był coraz według potrzeby inaczej. Czemuby zaś teraz nie mówiły bestye? łatwa tego przyczyna według tej Sentencyi: że jako Pan Bóg dla dwu Osób grzechu pierworodnego, całą naturę ludzką skarał; tak dla jednego węża niegodzieckiej mowy, wszystkim odjął mowę.“

Psy więc byłyby równie odpowiedzialne jak człowiek.

„Jednakże w tak wielkiej wątpliwości i całe niepewnej rzeczy, lepsze mi się widzi pospolite zdanie inszych ojców S. S. że ani bestye, ani wąż mówił sam z siebie do Ewy, ale go tylko jako jaki instrument z dopuszczenia boskiego zażył dyabeł.“

Powyższy wyjątek dobrze charakteryzuje metodę wykładu autora. Podobnie jak średniowieczni scholastycy, wywłóczy on wszelkie możliwe dowody *pro* i *contra*, rozbiera szczegóły, tworzy wątpliwości, ażeby je następnie rozciąć jednem słowem powagi. Pocóż było np. wywodzić całą historyą o płucach, skoro według zdania większości ojców kościoła dyabeł sam (prawdopodobnie obdarzony płucami) mógł przez usta męża przemawiać? „W tem żadnej trudności nie masz — kończy autor — bo jako słyszemy dyabła mówiącego cudzemi językami w opętanym, których człowiek nie umie, tak i przez węża mógł mówić dowcipnie, jako przez materyalny instrument.“ Co jednak godne uwagi, to owa skłonność ówczesnych filozofów popularnych do nadawania najcudaczniejszym rzeczom naturalnego pozoru i usprawiedliwiania cudowności, przez zwykłe fakta analogiczne, mimo całej wiary w cuda naruszające wszelki przyrodzony porządek. Cuda to były wówczas tak znane, oczytane i osłuchane, że stały się w umyśle ludzi rzeczami zwykłemi i mogły być na usprawiedliwienie innych, dziwniejszych przytaczane. To, że „opętany“ mówił „cudzemi“ nieludzkiemi językami, nie ulegało wątpliwości, można więc za pomocą tego faktu objaśnić inny dziwniejszy, że i przez węża dyabeł tak samo mówić umiał.

(C. d. n.)

Sam na sam.

Dzień był tak ciężki! wieczór taki głuchy!
Wiejący grobów chłodem i żałobą —
Wszystkie życzliwe odbiegły mnie duchy,
Łzy i nadzieje unosząc ze sobą..
Więc przy ognisku wygasłem, szczerniałem,
Sam na sam tylko z nieszczęściem zostałem.

Gość to surowy, czuwa, ach, przytomnie,
Bym chwili w słodszem nie spoczął marzeniu,
By żaden uśmiech nie doleciał do mnie
Na jakim słońca jaśniejszym promieniu,
I od wszelakiej pokusy mnie broni,
Zawsze w żelaznej przytrzymując dłoni.

Gość to surowy — serca nie rozpieści.
Ani mu nie da we łzy się rozpłynąć,
Lecz wszystkie naraz gromadząc boleści
Każe mu stwardnieć pod ciosem — lub ginąć...
I dalej w przyszłość prowadzi mnie ciemną,
Upominając, że wciąż będzie ze mną.

Ja mu za[illegible]. „Pozostań na straży
Mojego [illegible]a, jak wierny towarzysz,
Do twojej groźnej przywykłem już twarzy,
I do tych ciosów, którymi mnie darzysz,
I skorzystałem wiele z twej wymowy,
Nauczycielu wielki, choć surowy.

Dość mi, że wobec ciebie niezłamany
Na gruzach całej swej przeszłości stoję,
Na tych dni kilka nie pragnę odmiany
I nie dbam więcej już o losy swoje.
Lecz gdy mnie własne cierpienia utrudzą,
Potrafię jeszcze żyć radością cudzą.

Niech więc twa ręka wszystko we mnie kruszy,
Co z osobistem pragnieniem się wiąże —
Najlepszej cząstki nie wydrzesz mi z duszy,
Ni tej jasności, w stronę której dążę.
Depc śmiało ziemską istotę ułomną,
O ktorej duch mój i ludzie zapomną.

To, co dobrego w moich piersiach tkwiło,
Co się wiązało z wspólnem życiem świata,
To pozostanie pięknością lub siłą,
Chociaż znikoma już opadnie szata,
I w innych sercach żyć na nowo będzie
Dotychczasowe rzuciwszy narzędzie.

Zresztą niech wszystko niepamięć pochłonie,
Co nosi doli osobistej piętna,
Niech się rozgrywa dalej w mojem łonie
Ta walka z losem smutna i namiętna,
Bo oto w świetle grobu tajemniczem
I ból — i roskosz — zarówno są niczem!

El...y.

MOWA

HR. LESZKA BORKOWSKIEGO

na dorocznem zgromadzeniu Tow. Sztuk pięknych we Lwowie.

30. grudnia 1877.

Do udziału w tegorocznej wystawie sztuk pięknych zaprosiła dyrekcya nasza stu kilkudziesięciu artystów polskich znanych zaszczytnie; między innymi stu kilku malarzy. Znaczna liczba wezwanych przychyliła się do naszego życzenia; więc mieliście panowie sami sposobność widzenia i oceniania ich dzieł. Coraz bujniejszy wzrost umnictwa malarskiego w Polsce przedstawia dla uważnego widok bardzo ciekawy, bo przypominając podobne chwile w dziejach sztuki, rzuca pouczające światło na jej istotę i na prawa przyrodzone, którym podlegała i podlega. Kładę szczególny nacisk na te prawa, bo od ich zbadania zawisło poznanie przyczyn rozwoju lub upadku sztuki w różnych wiekach i narodach.

Teraźniejsze polskie malarstwo ma się do arcydzieł wieku szesnastego tak właśnie, jak się miało malarstwo włoskie z czasów odrodzenia do starożytnej sztuki greckiej. Dla ówczesnych artystów włoskich upragnione wzory wytworności estetycznej spoczywały także jakby nadsłoneczne ideały w odległym wieku i kraju. Sztuka grecka wypielęgnowana w objęciach wiary pogańskiej, przyczyniając jej wdzięku, rozgłosu i trwałości, budziła pewien wstręt w wyznawcach nowej religii. Rygoryzm pierwotnych chrześcian chciał wbrew naturze ludzkiej rugować z niej cielesność, uczynić ją czysto duchową.

Malarzom i rzeźbiarzom odmawiano chrztu, oddających się temu zawodowi wykluczano ze społeczności chrześcian, wzbraniano im jak komedyantom wiecznego spoczynku w ziemi poświęconej. Z takich zarodów, pochodzących przeważnie z pojęć hebrajskich, powstała następnie sekta obrazoburców. Wieki mijały nim zrozumiano, że sztuka jako wpływ konieczny natury ludzkiej mając powołanie cywilizacyjne, ogólne, może oddawać takie same przysługi każdej religii, jakie oddawała mitologii. Jednakowoż obawiając się oddziaływania, kościół, który na ten czas wszystkie sprawy ziemskie garnął pod siebie, zabrał i sztukę w swój zarząd. Najczęściej mnichy byli malarzami, a sobor nicejski w 8 wieku przyznawał prawo pomysłu to jest kompozycyi obrazów wyłącznie ojcom kościoła, zostawiając malarzom tylko wykonanie.*) Więc powstawały typy urzędowe, obowiązujące, bardzo często powtarzane, bo się ich niewolniczo trzymano. Pod takimi wpływami szkoła bizantyńska, korzystając z najpóźniejszych zabytków rzymskich, celowała jeszcze biegłością techniczną, udatnością form i czystością wykonania. Ale brakowało jej swobody i życia. Jakaś martwota, jakaś posępność, sztywność i nieruchawość postaci były jakby całunem śmiertelnym, w którym składano sztukę rzymską do grobu. Skon jej stawał się widoczny.

Wyzwolenie ducha ludzkiego z tych więzów, zowiemy odrodzeniem czyli zmartwychwstaniem sztuki. Zaczęto oglądać się znowu za wzorami greckimi już nie w celach ubocznych religijnych, tylko w celu wyłącznie artystycznym. Ale zabytki greckiego malarstwa zaginęły w zawierusze wieków. Znano je tylko z niedokładnych, rzadkich opisów, które, jakby echa przycichające, dolatywały jeszcze z zamierzchłej przeszłości. Okazy snycerstwa i rzeźbiarstwa były nie liczne i znacznie uszkodzone. Potrzeba było z ocalałych pojedyńczych części domyślać się całości, uzupełniać ją własnym namysłem. To otwierało szerokie pole wolności umysłowej; nieciło i podżegało twórczość Owoż Pygmalion, którego silnem ramieniem dźwignęte umnictwo we Włoszech, wzniosło się w szesnastym wieku do tej wysokości, na której stoi nieprześcignione dotychczas. Bo też wiek szesnasty był dla cywilizacyi europejskiej w ogólności wiekiem bardzo stanowczym. Duch ludzki, nito Fenix z własnych popiołów powstający, wstępował właśnie w lata młodzieńcze, a spłoszony do lotu przez Abelardów, Bakonów i Descartesów, odrzucał szczudła powag, aby własnych skrzydeł doświadczyć. Było to godzenie starożytnej oświaty azyatyckiej z nową oświatą europejską. Było to pojednanie zmysłowości pogańskiej z duchownością chrześciańską, dla sztuki bardzo pomyślne. Bo jak starożytność celowała w podnoszeniu powabów ciała, w oddawaniu siły fizycznej i gwałtownych namiętności; tak znowu tajemnicę przedstawiania cichych myśli i głębokich uczuć, podnoszenia powabów duszy, zawdzięcza sztuka chrześciaństwu. Madony bizantyńskie, chłodne i obojętne, ze wzrokiem zamdlonym jakby w otrętwieniu, doczekały się mistrza z Urbino, który im zdjął zasłonę, lica ożywił uśmiechem miłości, w oczach rozpalił płomienie, stopy oderwał od ziemi i złożył na miękkim puchu pływających w obłokach aniołów, a ciało przezroczyste jak krzyształ napełnił boskością.

Czem była Assyrya dla Grecyi, czem była Grecya dla Włochów, tem teraz są Włochy dla nas. Uprzywilejowaną ojczyzną sztuki. Tam szukamy natchnienia, prawideł i wzorów. A wzory te tak są obfite, tak wykończone i zadawalniające, iż pogrążają w używaniu prawie upajającem, iż rozbrajają twórczość. Włoska skarbnica sztuki przyczynia się wprawdzie do rozszerzenia znawstwa, do wykształcenia gustu, do wzbogacenia krytyki estetycznej i erudycyi; ale talentu nie stworzy, tak właśnie jak najpłodniejsza rola nie stwarza ziarna. Jeżeliż tedy artystyczne zbiory włoskie zechcemy uważać za bogate składy ideałów, gdzie je nabyć można, aby do do domu przywieść i przesadzić; „sztukmistrz musi ulecić w sfery ideału", powiada w Panu Tadeuszu artysta wojażer, to nie dziw, że sztuka taka wyda się wychuchaną cieplarnianą rośliną. Ideały wieków zamarłych świecą wprawdzie jak nieprzetrwałe gwiazdy na widokręgu sztuki, miłujemy je i podziwiamy; ale teraźniejszość powinna sobie własne utworzyć z własnych żywiołów. Tylko duch twórczy pod wpływem każdo-czasowej oświaty i miejscowych okoliczności: klimatu, zwyczajów, opinii i tym podobnych, zdolny jest wydać sztukę samorodną, narodową. Bo sztuka nie może żyć tradycyami, ona wytryska jakby ze skały Mojżeszowej z żywych wewnętrznych cieplic duchowych, które w ogólności życiem narodowem zowiemy. Na tę drogę weszła przed sześćdziesięciu laty nasza poezya, na tej drodze znajduje się teraz nasze malarstwo. Rozkwit sztuki zatem dowodzi zawsze i wszędzie silnie nurtujących prądów życia narodowego. Utwory naszych malarzy, różniące się właściwościami ich indywidualizmów, nie mają jeszcze wspólnych wybitnych znamion nowej powstającej szkoły, chociaż pędzel Matejki znalazł już odbicie w niejednym samodzielnym zresztą talencie. Indywidualność każda jest dwojaka: jedna jednostkowa osobista, którą w ścisłem znaczeniu wyłącznie indywidualnością zowiemy, druga zbiorowa, którą zowiemy narodowością. Historyi a mianowicie archeologii jest zadaniem wykazywać znamiona sztuki bezwzględne i względne, to jest właściwe sztuce w ogólności i właściwe geniuszowi szczególnych wieków i narodów lub nawet pojedyńczych ludzi. Pierwiastkiem artyzmu powszechnym, koniecznym, jest owa iskra cudowna, nie nabyta pracą, nie zasłużona, tylko zachwycona gdzieś w doskonalszym od naszego świecie; stopniowo rozżarzająca się w płomień, który jakby światło słoneczne przez pryzmę przebija przez wszystkie ziemskie zabytki: nauki, namysłu, doświadczeń, ćwiczeń, poglądów filozoficznych, uczuć rodzinnych, religijnych i patryotycznych. Nabytki te nie stanowią wprawdzie talentu, ale mu dają ciało, postać, głos i barwę; dają mu stałe różnice, rozpryskując każdy pojedyńczy promień w tysiące tęczy szczególnych. Jestto jakby ziemowzięcie niebianki, która spełniając ziemskie powołanie, posługuje się także ziemskimi środkami. Wszakże i owi sławni dwaj aniołowie, goście Piasta, nie przemawiali do niego mową duchów, ani jak Niemcy tylko jako słowni.

Prawda artystyczna, zstępując z górnej ojczyzny, unosi się wprawdzie po nad wszystkie ziemskie sprawy i wypadki, ale nie traci na tem, jeżeli się znajdzie z niemi w połączeniu i zgodzie. Anachronizmy, że tak powiem, Szekspirowskie, w sławnych utworach malarskich nie zmniejszają ich artystycznej wartości, ale dokładność historyczna powinnaby przecież bardziej być ceniona, niż złote ramy. Im więcej nagromadzi artysta do celów swoich ziemskiego tworzywa, czy to z historyi, czy z filozofii, czy z przyrodoznawstwa, tem ponętniejszem będzie jego dzieło: bo chociaż przybory takie nie są koniecznym warunkiem sztuki, to ozdabiają jej pojaw, jak twarz piękna dobrą śpiewaczkę.

Ta cząstka świetlana, którą artysta dostał w udziale, jako świadectwo swego powołania, nie pozbawia go człowieczeństwa, ani go czyni niebianem. Nawet w chwili uroczystej natchnienia, w czasie spełniania kapłaństwa, czy to z piórem w ręku, czy z pędzlem, czy z dłutem, czy z lutnią, jest on zawsze pod wpływem swojej nabytej wiedzy, swoich tendencyi i namiętności.

Nie podzielamy przeto zdania tych estetyków, którzy utrzymują, że sztuka jest sama celem dla siebie. Sztuka w głębi duszy, nim się wywnętrzy i uzmysłowi, jest sztuką tylko dla dusz. Sąd o niej zostawiony jest Bogu i jego aniołom. „Chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być, lecz we mnie." Można nosić w wyobraźni najpiękniejsze obrazy, najwznioślejsze poemata; ale te skarby wewnętrzne trzeba jak drogi kruszec z kopalni dobyć i wyrobić, aby się stały pomnikiem. Na smętarzu wiejskim spoczywa nie jeden Fidias, który nie miał dłuta w ręku, nie jeden Mickiewicz, który pisać nie umiał. Nawet w wyobraźni artysty twory duchowe przedstawiają się już zmysłowo, a wykonanie jest tylko dagerotypem nagromadzonych w duszy widoków. Sztuka daje ideom widoczność i barwy, gibkość i ciepło cielesne; chodzi tylko o zachowanie stosownej miary i równowagi pomiędzy myślą zarodnią a ciałem, w które wstępuje, aby hieroglif był przejrzysty, łatwo zrozumiały i nie naciągnięty. Wszakże wszystkich powabów postaci,

*) Consiliorum collectio regia maxima. Paris 1714. T. IV. col. 360.

całego uroku barw malarz nie na to używa, aby je w idei utopić, jak Korneliusz we freskach metafizycznych, tylko aby ideę niemi opromienić i wymowniejszą uczynić, jak Matejko w obrazach historycznych.

Znany jest panowie, związek wewnętrzny, znane bliskie powinowactwo sztuk pięknych nie tylko z umiejętnościami, ale także z przemysłem i rolnictwem w szczególności. Bez wykształconego gustu, bez poczucia i pragnienia piękna, płody rolnicze i rękodzieła pozostałyby na zawsze w stanie dzikości. Ośmieliłbym się nawet utrzymywać, że wprzódy rzeźbiarz stworzył idealne winogrono, wprzódy malarz stworzył idealną pełną różę, nim ogrodnik dosiągł tych ideałów w rzeczywistości. Są to prawdy stwierdzone tak licznymi przykładami, iż byłoby zbytecznie długo się nad tem rozwodzić. Dość będzie przypomnieć nieocenionej wartości artystycznej wyroby złotnicze Benvenuta Celiniego; porcelany ze sławnych fabryk azyatyckich i europejskich; dyftyki perskie i indyjskie, makaty chińskie, jedwabnice lyońskie, gobeliny paryskie, koronki brabanckie i mnóstwo innych przedmiotów przemysłu, które się stały źródłem bogactw narodowych; bo pomiędzy wyrobami jednakowej nawet dobroci i użyteczności te będą zawsze poszukiwańsze, które bardziej dogadzają uczuciom i pojęciom estetycznym.

Taką to bronią walczą o lepsze rękodzieła, przemysł i rolnictwo! O broń tę trzeba i nam się postarać. Uprzedzenie, iż wszystko zagraniczne jest lepsze, jakkolwiek jest śmieszne i naganne, ma jednak pewną przyczynę, a tą przyczyną nie zawsze jest lekkomyślność kupującego, może nią być także zasługa producenta. To też komitet blisko zeszłej wystawy rolniczo-przemysłowej, ogarniając umiejętnie cały zakres swojego zadania, nie tylko życzył sobie, aby wystawa sztuk pięknych odbyła się równocześnie z ogólną wystawą krajową, ale nadto przez udzielenie zasiłku materyalnego umożliwił nam ponoszenie większych, niż zwykle, wydatków, na co przy szczupłych dochodach naszych nie moglibyśmy byli, pomimo najlepszych chęci, narażać naszego Towarzystwa.

Dzbański zasłabł parę miesięcy przed wystawą. Zastępował go Edward Błotnicki. Obarczony zajęciami złożył mandat, na jego miejsce trzeba przedsięwziąć wybór uzupełniający. Dwóch dyrektorów występuje z porządku starszeństwa. Na ich miejscu nowe wybory. Nareszcie wybór prezesa i vice-prezesa, ma tedy zgromadzenie najlepszą sposobność zaopatrzyć się w siły odpowiedniejsze, wlać nowe życie, natchnąć nowym duchem dyrekcyę i nadać jej kierunek odpowiedni swoim życzeniom.

HEKTOR SERVADAC

PRZYGODY W PODRÓŻY

PO ŚWIATACH SŁONECZNYCH

przez

JULIUSZA VERNE'A.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ XVII.

Który bez trudności może być zatytułowany bardzo słusznie: Od tegoż do tychże.

Żeglarzom *Dobryny* nie pozostawało jak powracać na wyspę Gurbi. Szczupłe to terytoryum było prawdopodobnie jedyną częścią dawnego lądu, mogącą przyjąć i wykarmić tych, których nowe ciało niebieskie unosiło w świecie słonecznym.

— Bądź co bądź—powiedział sam do siebie kapitan Servadac—jest to prawie kawałek Francyi.

Projekt powrotu na wyspę Gurbi wzięty więc został pod rozbiór i miał już być przyjęty, gdy porucznik Prokop zrobił uwagę, że nowy obwód morza Śródziemnego nie był jeszcze zbadany w zupełności.

— Potrzeba nam jeszcze obejrzeć północ,— powiedział — od punktu, gdzie przedtem znajdował się przylądek Antibes aż do wód ciaśniny Gibraltarskiej; a na południu od zatoki Gabes do tychże wód. Opływaliśmy granice zarysowujące dawniejsze wybrzeże afrykańskie, ale nie wybrzeże nowe. Kto wie, czy wszelkie wejście zamknięte nam jest na południu i czy jaka urodzajna oaza w pustyni afrykańskiej nie uniknęła katastrofy? A przytem być może, iż Włochy, Sycylia, archipelag wysp Balearskich oparły się; należałoby w te strony zwrócić *Dobrynę*.

— Uwagi twoje są słuszne, Prokopie, — odrzekł hrabia; — w samej rzeczy zdaje mi się niezbędnem dokompletowanie planu hydrograficznego tej nowej kotliny.

— Przyłączam się do tego pomysłu, — dodał kapitan Servadac. — Cała kwestya zawiera się w tem, by wiedzieć, czy obecnie należy nam uzupełniać nasze poszukiwania przed powrotem na wyspę Gurbi.

— Sądzę, — odrzekł porucznik Prokop — iż powinniśmy zużytkować *Dobrynę*, dopóki może jeszcze służyć.

— Co chcesz powiedzieć przez to Prokopie? — zapytał hrabia.

— Chcę powiedzieć, że temperatura ciągle zniża się, że Galia posuwa się po linii krzywej, coraz bardziej oddalającej się od słońca i prędko będzie narażona na nadzwyczajne zimno. Natenczas morze zamarznie i żegluga stanie się niemożebną. Wiecie, panowie, jak trudnem jest pływanie wśród lodów. Czy nie lepiej zatem prowadzić w dalszym ciągu poszukiwania, dopóki wody są jeszcze wolne?

— Masz słuszność, Prokopie, — odrzekł hrabia.—Zobaczmy, co pozostało z dawnego kontynentu i czy jaki kawałek Europy nie został zaoszczędzony, czy jacy nieszczęśliwi nie utrzymali się przy życiu i czy nie będzie można przyjść im w pomoc — oto, o czem trzeba się dowiedzieć przed powrotem na zimowy wypoczynek.

Szlachetny hrabia wśród takich okoliczności myślał jeszcze o swoich bliźnich. Ale kto wie czy myśląc o innych, nie myśli się o sobie samym? Żadna różnica ras, żadne odróżnienie narodowe nie powinno było już istnieć między tymi, których Galia unosiła w przestrzenie nieskończone. Byli oni przedstawicielami jednego i tego samego ludu, lub raczej rodziny, gdyż można było obawiać się, że niewielu mieszkańców dawnej ziemi przeżyło katastrofę! A zresztą jeżeli istnieli tacy, to powinni byli skupiać się, łączyć dla dobra wspólnego, i jeżeli zginęła wszelka nadzieja powrotu na kulę ziemską, starać się odnowić na tem nowem ciele niebieskiem nową ludzkość

Dnia 25. galiota opuściła małą zatokę, w której na chwilę znalazła schronienie i posuwając się wzdłuż brzegu północnego płynęła ku wschodowi całą siłą pary. Zimno poczynało stawać się dotkliwem, mianowicie przy silniejszym wietrze. Termometr trzymał się średnio o dwa stopnie niżej zera. Na szczęście morze ścina się przy temperaturze niższej, aniżeli woda słodka; nie przedstawiało więc żadnej przeszkody w żegludze *Dobryny*. Ale należało pospieszać.

Noce były piękne. Chmury, zdawało się, iż nie tak łatwo powstają w stopniowo ochładzających się pokładach atmosfery. Konstelacye błyszczały na firmamencie w czystości niezrównanej. Jeżeli porucznik Prokop w charakterze marynarza żałował, że księżyc zniknął na zawsze z horyzontu, to astronom, zajęty badaniem nieba gwieździstego, winszowałby sobie, tej tak mu się nadającej jasności nocy galickich.

Ale jeżeli wędrowcy na *Dobrynie* pozbawieni byli księżyca, to przynajmniej mieli zdawkową jego monetę. W owej epoce prawdziwy grad gwiazd spadających przesuwał się po widnokręgu, — gwiazd nierównie liczniejszych, aniżeli spostrzegacze ziemscy mogą naliczyć w sierpniu i listopadzie. I jeżeli, powołując się na p. Olmsted, na horyzoncie w Bostonie w r. 1833 ukazało się średnio trzydzieści cztery tysiące asteroid tego rodzaju, to tu śmiało można było podwoić tę liczbę.

Galia, w samej rzeczy, przebywała pierścień, będący prawie jednośrodkowym z orbitą ziemi i względem niej zewnętrznym. Meteorowe te ciałka, zdawało się, iż miały za punkt wyjścia Algol, jedną z gwiazd w konstelacyi Perseusza i iskrzyły się z wytężeniem, które nadzwyczajna ich szybkość czyniła cudownem, ścierając się z atmosferą Galii. Bukiet ogniów sztucznych, złożony z miliona rakiet, nie dałby się porównać ze wspaniałością tego meteoru. Skały, z jednej strony odbijając te ciałka od swej powierzchni metalicznej, zdawały się iskrzyć światłem, a morze oślepiało wzrok, jak gdyby usypane było rozpalonymi żużlami.

Ale widowisko to trwało zaledwie dobę, z taką szybkością Galia oddalała się od słońca!

Dnia 26 lutego *Dobryna* wstrzymana została w swej drodze długo wysuniętem wybrzeżem, co ją zmusiło do spuszczania się aż do kończyny dawnej Korsyki, z której ani śladu nie pozostało. Tam miejsce ciaśniny Bonifacia zalegało morze, najzupełniej puste. Ale dnia 27go sygnalizowano wysepkę na wschodzie w odległości kilku mil od galioty; położenie zaś jej pozwalało przypuszczać, że nie była dawną, lecz należała do północnych brzegów Sardynii.

Dobryna przybliżyła się do tej wysepki. Spuszczono łódź na wodę. W kilka chwil potem hrabia i kapitan Servadac wylądowali na zielenie-jącej łące, mającej nie cały hektar powierzchni. Kilka krzaków mirtu i innych roślin, nad któremi wznosiły się trzy czy cztery stare drzewa oliwne, przecinało ją w niektórych miejscach. Zdawało się, że są opuszczone przez wszelakie żywe istoty.

Wędrowcy nasi zabierali się zatem do odpłynięcia, gdy uszu ich doleciało beczenie i prawie w tejże chwili ujrzeli kozę, skaczącą między skałami.

Byłto jeden egzemplarz owych kóz domowych, tak słusznie zwanych „krowami ubogich," młoda samica, o czarnej wełnie, małych i regularnie zagiętych rogach, która nie tylko nie uciekała za zbliżeniem się obcych, lecz pobiegła naprzeciw nim, skokami i beczeniem zdając się wzywać by poszli za nią.

— Ta koza nie jest sama na wysepce! — zawołał Hektor Servadac. — Idźmy za nią!

Tak się też stało; a o kilkaset kroków dalej kapitan Servadac i hrabia przybyli do rodzaju jamy osłoniętej krzakiem kaprifolium.

Z pomiędzy gałęzi wyglądało dziecko, mogące mieć siedm do ośmiu lat, o głowie zacienionej długiemi czarnemi włosami, piękne jak jeden z aniołków Murilla na obrazie Wniebowzięcia — nie bardzo wystraszone.

Rozpatrzywszy przez kilka chwil dwóch przybyłych, których powierzchowność wydała się jej zapewne wzbudzającą zaufanie, mała dziewczynka wstała, podbiegła ku nim i wyciągając

obie ręce z ruchem pełnym ufności — rzekła głosem tak słodkim, jak sam język włoski, w którym się odezwała:

— Wy nie jesteście źli ludzie? Nie zrobicie mi nic złego? Czy nie potrzebuję obawiać się?

— Nie, — odpowiedział hrabia po włosku. — Jesteśmy i chcemy być twoimi przyjaciołmi!

Potem popatrzywszy przez chwilę na piękną dziewczynkę, zapytał:

— Jak się nazywasz, moja malutka?

— Nina.

— Nino, czy możesz nam powiedzieć, gdzie się znajdujemy?

— Na Madalenie, — odrzekła dziewczynka. — Byłam tam gdy się wszystko zmieniło — i to nagle!

Madalena, była to wyspa leżąca blisko Kaprery na północ od Sardynii, która teraz znikła wśród straszliwej klęski.

Kilka zapytań, na które nastąpiły odpowiedzi bardzo roztropne, wyjaśniły hrabiemu, że mała Nina była sama jedna na wysepce, że nie miała rodziców, że doglądała stada kóz, należących do pewnego gospodarza, że w chwili katastrofy wszystko nagle zapadło się dokoła niej, wyjąwszy tego kawałka ziemi, że ona i Marzy, jej faworyta, jedne tylko uratowały się, że była w wielkim strachu, ale że wkrótce uspokoiła się, podziękowawszy Bogu, że ziemia już więcej nie rusza się i uporządkowała się, by żyć z Marzy. Na szczęście posiadała nieco żywności, która dotąd jej wystarczyła; a zawsze miała nadzieję, iż przybędzie jaka łódź, by ją zabrać. Ponieważ łódź już się znalazła, więc popłynie, pod warunkiem, że zabiorą i jej kozę i że gdy będzie można, odeszlą je obie do domu.

— Oto jeszcze jeden śliczny mieszkaniec więcej na Galii! — rzekł kapitan Servadac, uściskawszy dziewczynkę.

W pół godziny potem Nina i Marzy, ulokowane zostały na galiocie, gdzie każdy, jak łatwo domyśleć się, przyjął je najserdeczniej. Spotkanie tego dziecka było szczęśliwą przepowiednią. Majtkowie, ludzie bogobojni i przesądni, poczytali ją za rodzaj anioła i nie jeden naprawdę przyglądał się, czy nie ma skrzydeł.

W kilka godzin *Dobryna* straciła z oczu Madalenę, żeglując ku południo-wschodowi przy nowem wybrzeżu, odległem o pięćdziesiąt mil od dawniejszego brzegu włoskiego. Inny ląd zastąpił półwysep, z którego ślad nawet nie pozostał. Wszakże na wysokości Rzymu uformowała się wielka zatoka, ciągnąca znacznie dalej po za miejsce, które powinno było zajmować wieczne miasto. Dalej nowy brzeg wsuwał się w dawniejsze morze dopiero na wysokości Kalabryi i rozciągał się aż do samych ich krańców. Ale nie było już latarni meksykańskiej, ani Sycylii, ani nawet szczytu ogromnej Etny, która jedna wznosiła się na trzy tysiące trzysta pięćdziesiąt metrów ponad powierzchnią morza.

O sześćdziesiąt mil dalej ku południowi *Dobryna* znowu ujrzała wejście do owej ciaśniny, która tak opatrznościowo przedstawiła się jej podczas burzy, a której wschodni otwór wychodził na wody gibraltarskie.

Od tego punktu do ciaśniny Gabes nowe granice Śródziemnego morza były już zbadane przez naszych wędrowców. Porucznik Prokop, słusznie oszczędzając czas, zwrócił więc w prostej linii ku paraleli, gdzie znalazł brzegi kontynentu jeszcze nie obejrzane.

Był dzień 3 marca.

Od tego punktu brzeg zakreślał Tunis, przechodził przez dawną prowincyą Konstantyny, na wysokości dawnej oazy Ziban. Potem ostrym kątem wchodził aż pod trzydziestą drugą paralelą i zawracał, tworząc nieregularną zatokę, dziwnie obramowaną mineralnemi masami. Następnie na długości około stu pięćdziesięciu mil przebiegał dawniejszą Saharę algierską, tak, że przybliżał się ku południowej stronie wyspy Gurbi w cyplu, który mógłby służyć za naturalną granicę marokkańską, gdyby Marokko istniało jeszcze.

Potrzeba było zatem powracać na północ do końca tego cypla, aby go opłynąć. Opływając zaś podróżni nasi byli świadkami fenomenu wulkanicznego, który pierwszy raz dostrzegli na powierzchni Galii.

Cypel ten zakończała góra ogniem wybuchająca, wznosząca się na trzy tysiące stóp. Nie był to wulkan wygasły, ponieważ krater jego jeszcze dymił, jeżeli nie wyrzucał płomieni.

— A więc Galia posiada ogień wewnętrzny! — zawołał kapitan Servadac, gdy wulkan został sygnalizowany z *Dobryny*.

— Dlaczegożby nie, kapitanie, — odrzekł hrabia.—Ponieważ Galia jest tylko odłamem kuli ziemskiej, to czyż nie mogła nasza asteroida zabrać z sobą części ognia środkowego, jak zabrała część atmosfery, wód i lądu?

— Bardzo niewielką część! — powiedział kapitan Servadac,—ale z tem wszystkiem wystarczającą dla teraźniejszej ludności!

— Za pozwoleniem, kapitanie, — zapytał hrabia, — ponieważ podróż nasza ma nas doprowadzić w okolice Gibraltaru, czy nie sądzisz pan, iż należałoby zawiadomić Anglików o nowym stanie rzeczy i wynikach tego?

— Do czego? — odrzekł kapitan Servadac. — Anglicy ci wiedzą, gdzie się znajduje wyspa Gurbi i jeżeli się im spodoba mogą tam przybyć. Nie są to nieszczęśliwi, środków pozbawieni ludzie. Przeciwnie! Na długo mają czem żyć. Największej sto dwudziestu mil oddziela ich od naszej wyspy, a gdy morze pokryje się lodem, mogą zgłosić się do nas, kiedy zechcą. Właściwie nie mamy racyi być zadowolonymi z ich przyjęcia i gdy przybędą do nas, to zemścimy się...

— Naturalnie przyjmując ich lepiej, — dorzucił hrabia.

— Bezwątpienia, panie hrabio, — odrzekł kapitan Servadac—gdyż właściwie niemasz tu różnic narodowości.

— O, — rzekł hrabia, kiwając głową, — Anglik wszędzie jest Anglikiem.

— Ba! — odrzekł Hektor Servadac—jest to ich wadą i zarazem zaletą!

Tak postanowiono zachować się względem załogi gibraltarskiej. Zresztą, choćby nawet chciano zawiązać pewne stosunki z tymi Anglikami, to byłoby to niemożebnem w obecnej chwili, gdyż *Dobryna* nie mogłaby bez narażenia się powrócić ku wysepce.

W samej rzeczy! temperatura zniżała się stopniowo. Porucznik Prokop nie bez niespokojności przekonał się, że morze lada chwila może sciąć się dokoła statku. Oprócz tego składy węgla, wskutek żeglugi pełną parą, powoli wypróżniały się i wkrótce mogło zabraknąć paliwa, gdyby się go nie zaoszczędzało. Obie te przyczyny, niezaprzeczenie bardzo ważne, przedstawione zostały przez porucznika, i postanowiono, że żegluga nadbrzeżna przerwana zostanie na wysokości punktu wulkanicznego. Po za nim brzeg zwracał się ku południowi i gubił się w bezgranicznem morzu. Zapuszczać się z *Dobryną*, której wkrótce miało zabraknąć węgla, na ocean, wkrótce mogący zamarznąć, mogło być zgubnem. Zresztą prawdopodobnem było, że w całej tej części Galii, dawniej zajętej przez pustynię afrykańską, nie znajdzie się inny grunt oprócz tego, jaki dotąd obserwowano — grunt, któremu stanowczo brakło wody i humusu i którego żadna praca nie zdołałaby użyźnić. Więc nie było nic złego w przerwaniu poszukiwań; tembardziej, że mogły być na nowo podjęte w czasie właściwszym.

A więc 5 marca postanowiono, że *Dobryna* nie zwróci się ku północy, ale popłynie ku Gurbi, znajdującej się w odległości najwięcej dwudziestu mil.

— Biedny mój Ben-Zuf! — rzekł kapitan Servadac, często przypominający sobie swego towarzysza, podczas tej pięciotygodniowej podróży. — Byle mu się nic złego nie stało!

Krótka przeprawa od punktu wulkanicznego do wyspy Gurbi odbyła się bez żadnego wypadku, wyjąwszy znalezienia drugiej notatki tajemniczego uczonego, który widocznie będąc w możności obliczenia tak zwanych elementów Galii, obserwował ją ciągle na nowej orbicie.

O wschodzie słońca sygnalizowano jakiś pływający przedmiot. Wyłowiono go. Na ten raz tradycyjną butelkę zastępowała mała puszka z sardynek i teraz gruby pokład laku z takiemi samemi literami, jakie znajdowały się na poprzednio wyłowionym futerale, hermetycznie zalepiał przykrywę.

„— Od tegoż do tychże!“ — rzekł kapitan Servadac.

Puszkę ostrożnie otworzono i znaleziono następujący dokument:

„Gallia (?).

Ab sole 1go marca, odleg.: 78,000.000 m.!

Droga przebieżona od lutego do marca: 59,000.000 m.!

Va bene! All right! Nil desperandum!

Wybornie!“

— I ani adresu, ani podpisu! — zawołał kapitan Servadac. — Możnaby sądzić, że jestto szereg mistyfikacyi!

— Byłaby to w takim razie mistyfikacya orbita w wielkiej ilości egzemplarzy, — odrzekł hrabia, — gdyż zważywszy, że dwa razy znaleźliśmy ten szczególny dokument, autor jego musiał zasiać morze swojemi futerałami i pudełkami.

— Ale jakiż to waryat ten uczony, co nawet nie pomyśli o tem, by podać swój adres!

— Adres jego? to dno studni astrologa!— odrzekł hrabia, napomykając na bajkę Lafontaine'a.

— Bardzo być może, ale gdzie ta studnia?

Zapytanie to kapitana Servadac musiało pozostać bez odpowiedzi. Czy autor dokumentu przebywał na jakiej wysepce zaoszczędzonej, której *Dobryna* nie poznała? Czy był na pokładzie statku pływającego po tem nowem morzu Śródziemnem, tak jak galiota? Trudno było odpowiedzieć.

— W każdym razie, — zauważył porucznik Prokop, jeżeli to jest dokument poważny — a cyfry, które znajdują się na nim zdają się przekonywać o tem — to daje powód do dwóch ważnych uwag. Pierwszą jest, że szybkość Galii zmniejszyła się o dwadzieścia trzy miliony mil, ponieważ droga przebieżona przez nią od stycznia do lutego, wynosząca ośmdziesiąt dwa miliony mil, od lutego do marca czyni tylko pięćdziesiąt dziewięć milionów. Druga uwaga jest, że odległość Galii od słońca, która 15 lutego wynosiła tylko

pięćdziesiąt dziewięć milionów mil, dnia 1 marca wynosi siedmdziesiąt ośm milionów, to jest zwiększyła się o dziewiętnaście milionów. A zatem w miarę jak Galia oddala się od słońca, szybkość jej przebiegu po orbicie zmniejsza się, co najzupełniej zgadza się z prawami niebieskiej mechaniki.

— I wnosisz z tego Prokopie?... — zapytał hrabia.

— Wnoszę, że poruszamy się, jak już zauważyłem, po orbicie eliptycznej, ale której odśrodkowości nie podobna nam obliczyć.

— Uważam, oprócz tego — dodał hrabia— że autor dokumentu znowu posługuje się nazwą Gallia. — Proponuję więc by przyjąć ją stanowczo dla nowego ciała niebieskiego, unoszącego nas, a morze to nazwać „morzem Gallickiem."

— Dobrze, — odrzekł porucznik Prokop i zapiszę je pod tą nazwą, gdy będę układać naszą nową mapę.

— Co do mnie, — dodał kapitan Servadac — to zrobię jeszcze trzecią uwagę, a mianowicie, że zacny ten uczony coraz bardziej zachwycony jest sytuacyą i niech dzieje się co chce, ja zawsze i wszędzie powtarzać będę wraz z nim: *Nil desperandum.*

W kilka godzin potem straż na *Dobrynie* dostrzegła nakoniec wyspę Gurbi.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

Fotografie społeczne, zebrane przez autora Kłopotów starego Komendanta. Trzy tomy. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta 1878.

Dwadzieścia już lat z górą upłynęło, jak autor Fotografii społecznych po raz pierwszy wystąpił na polu powieściopisarstwa. Kłopoty starego komendanta wydane 1856 r. powszechnie się podobały i powszechną uwagę zwróciły na ich autora. Zdawałoby się, że tak dobre przyjęcie pierwszego większego utworu powinnoby było zachęcić autora do dalszej pracy na tem polu. W istocie wydał on jeszcze w następnym roku parę powieści (Dziecię niedoli i Dziecię próżności, Nasze dzieci), ale potem i po wydaniu Drobiazgów powieściowych w 1858 r. umilkł i milczał tak długo i tak uporczywie, że dla niejednego, co czytał kiedyś Kłopoty starego komendanta, a potem przez lat blisko dwadzieścia nie spotykał się z nazwiskiem ich autora, postać tego ostatniego należała już tylko do historyi literatury.

Tymczasem przed parą laty autor Kłopotów starego komendanta odezwał się na nowo. Zdziwienie było tem większe, że tym razem powiastki pana Wilczyńskiego rzęsiście posypały się jedne za drugiemi i nieraz jednocześnie dwie, trzy jego humoreski drukowały się w różnych pismach warszawskich i lwowskich. *Fotografie społeczne* są zbiorem tych powiastek, ale tylko częściowym, nie obejmują bowiem całej nowej produkcyi autora.

Jeżeli porównamy dwa wystąpienia pana Wilczyńskiego w naszem powieściopisarstwie, pierwsze przed laty dwudziestu z drugiem obecnem, to dojdziemy do wniosku, że wystąpienie dzisiejsze o wiele więcej powinno mieć znaczenia dla naszej literatury powieściowej, jak poprzednie. W r. 1856 powieściopisarstwo nasze było w najświetniejszym rozkwicie. Żyli wówczas jeszcze i pisali z całą siłą talentu Chodźko, Korzeniowski, Rzewuski; nie umilkł był jeszcze Kaczkowski, a i najlepsze powieści Kraszewskiego, pełne barw i woni poetyckiej, na tę właśnie porę przypadają. Kłopoty starego komendanta, które się wówczas pojawiły, jakkolwiek przyjęte jak najlepiej, nie mogły przecież odgrywać wielkiej roli wobec takiej obfitości pierwszorzędnych utworów powieściowych.

Co innego dzisiaj. Dziś powieściowa literatura nasza zdaje się być w peryodzie rozkładowym, czy przechodowym. Przedstawienie całego niedołęstwa dzisiejszego, całego upadku tej literatury, która jeszcze przed dwudziestu laty tak świetnym okrytą była kwiatem, nie może być przedmiotem tego artykułu. Poprzestanę tu tylko na ogólnikowem wskazaniu, że dzisiejsza powieść nasza odzwierciadla nie życie społeczne, ale raczej chaos i nieporządek, który panuje w głowach piszących. Nie jest ona płodem swobodnego, spokojnego i artystycznego poglądu na świat, ale przeważnie kwestyą zarobku, lub niezgrabnym worem, z którego szydło tendencyi bez ceremonii na świat wyłazi. Na nieszczęście ludzie, którzy ciągle jeszcze stoją na jej czele, a których znaczenie polega na dawniejszych zasługach na tem polu, od wielu lat zmuszeni są żyć po za krajem, i fantazya ich pozbawiona soków życia narodowego, musi chorować na niedokrewność. Młode talenta w kraju próbują wpraw dzie nowych dróg, pragną wydostać się z tego zamętu, ale i tu kwestya zarobku paraliżuje często ich dobre chęci, i zawraca ich w utarte tory prawienia niedołężnych bajek luk kazań.

Z całego tego chaosu dzisiejszego powieściopisarstwa naszego powiastki pana Wilczyńskiego wyróżniają się niezamąconym spokojem opowiadania i realnem przedstawieniem życia, dwiema zaletami, których nietylko w równym, ale i w niższym stopniu trudno znaleźć u którego z dzisiejszych powieściopisarzy. Pod tym względem autor fotografii społecznych zbliża się najwięcej do Ignacego Chodźki, z którym ma i niektóre inne wspólne cechy, jak naprzykład urywkową formę opowiadania i pewien brak krystalizacyi w budowie powieściowej.

Opowiadania swoje po większej części wkłada autor w usta osób występujących w powieści. Ale nie są to bynajmniej główne postacie; a przeciwnie są to ludzie stojący zwykle na uboczu względem głównej akcyi i najczęściej mimowoli w nią wplątani. Dla tego sąd ich o całej sprawie, będącej przedmiotem jakiegoś opowiadania, sąd wyrażający się bardziej w tonie niż w słowach, odznacza się niezwyczajnym spokojem i bezstronnością. Czasami jednak co prawda, i sam opowiadający, jak n. p. w Panu Komorniku, występuje w roli głównego bohatera, mimo to jednak ton opowiadania się nie zmienia, autor bowiem do tej funkcyi dobiera zwykle ludzi jednego mniejwięcej koloru. Są to ludzie spokojni, trzeźwi, umiarkowani w sądach; ludzie, którzy przeszli twardą szkołę życia, i wynieśli z niej humor, jako szczególną nagrodę i kwiat wewnętrznej czystości ducha; ludzie nie wiele wymagający dla siebie, a pobłażliwi dla innych, nie zacietrzewieni w żadnych formułkach politycznych a mający ucho dla prawdy, zkądkolwiek by ją wiatr przynosił. Takim ludziom zwykle porucza autor opowiadanie, i wywiązują się oni ze swego zadania z sumiennością sędziów przysięgłych. Opowiadają przytem rzecz swoją językiem, który dalekim jest od wszelkiej urzędowości i musi się podobać ze swej gospodarskiej prostoty. Co się tyczy humoru, wydobywa się on jak najnaturalniej, bez widocznych wysileń ze strony autora. Humor ten nie polega na zestawianiu rażących kontrastów, ale głównie na sytuacyach bardzo naturalnych, i bardzo nieznacznie pochylonych w stronę komiczną.

Jeżeli nadzwyczajna wierność w malowaniu życia, spokojny i trzeźwy pogląd na świat, humor lekki i niewymuszony, świeżość i plastyczność języka nadają wielką wartość utworom pana Wilczyńskiego i czynią je dziś tak popularnymi, to za to budowa powiastek jego podlegać może nieraz zarzutom. Głównym zarzutem, jaki się w tym względzie da zrobić niektórym przynajmniej powiastkom, jest ten, że zajęcie nie wzrasta w miarę rozwijania się powieści, a i owszem słabnie czasem przed ostatecznem jej rozwiązaniem. Weźmy naprzykład jedną z najlepszych i najobszerniejszych opowiadań z Fotografii społecznych pt. Sąd polubowny. Przedstawione tu są kłopoty pewnego obywatela wiejskiego, pana Antoniego, do którego przyjechała na czas jakiś ciotka jego żony, pani referendarzowa z Warszawy z dwudziestuletnią córeczką Marynią, i który z tego powodu wplątany został, jako sędzia polubowny, w pewną sprawę sąsiedzką i ztąd naraża się na rozmaite przykrości. Ciotka, poczciwa kobiecina, ale dość jak się zdaje ograniczona, i szukająca wszędzie konkurentów dla córki, upatrzyła sobie kandydata na zięcia w panu Czerwińskim, sąsiednim dzierżawcy, ulubieńcu pań okolicznych, a w szczególności pani Michałowej Wietrzyckiej, żony właściciela majątku, który Czerwiński trzymał w dzierżawie. Chodzi o to, aby ściągnąć Czerwińskiego do Maryni. Pan Antoni, powolny żądaniom żony i jej ciotki, jakkolwiek sam sceptycznie usposobiony dla tego projektu małżeństwa, używa niewinnego podstępu, aby wywiązać się z danego sobie polecenia i w niedzielę z kościoła zabiera Czerwińskiego do siebie na obiad, pomimo, iż parę innych pań czatowało na szczęśliwego młodzieńca w tym samym celu. Można się łatwo domyśleć, że Czerwiński musi być przystojnym, co mu jednak nie przeszkadza być porządnie ograniczonym i nieznośnym samochwałem. Nie zważa jednak na to ciocia referendarzowa, bo mówiąc między nami, Marynia ma nie dwadzieścia, ale dwadzieścia dwa lata i niebawem zacznie dwudziesty trzeci, więc w przekonaniu cioci czekać nie można dłużej. Ale cóż Marynia na to? Biedna dziewczyna musi znosić mnóstwo wyrzutów od matki, że nie stara się nikomu podobać, że „jest niezgrabna, bez życia, bez uczucia, bez powabu."

— Ależ, moja mamo, ja nie będę inną, tylko tak, jak mię Bóg stworzył.

— To też jedyna odpowiedź twoja, gdy matka dobrze radzi. Czegoż ten stanik nosisz pod szyję, jak jaki mundur wojskowy? Może jeszcze i brodę schowasz?

Dla Maryni więc, jak już z tej krótkiej rozmowy wnioskować można, sprowadzony kawaler nie jest zbyt miłym, ale przez miłość dla matki stara się być dla niego uprzejmą. Jednakże gdy przy obiedzie pan Adam Czerwiński próbował zawiązać hieroglificzną rozmowę i z kulek chlebowych ułożył słowo „kocham," Marynia z całą naturalnością zapewniała, że nie może tego słowa odczytać.

— Trzeba pomyśleć trochę — mówi p. Adam.

— Kiedy ja nie lubię myśleć — odpowiada panna.

— Ależ lubisz, moje serce, lubisz! — wtrąca matka.

— Mameczko, nawet nie umiem myśleć...

— Słyszanaż to rzeczy! — odzywa się już zirytowana matka. — Maryniu, wstydź się, gdzież znajdziesz człowieka, któryby nie myślał?...

— Właśnie i ja należę do tych, co nie lubią myśleć — odzywa się Czerwiński seryo. — Proszę mi wierzyć, jeszcze ani jednej szarady w życiu nie odgadłem. Już od dziedzińctwa należałem do ludzi mało myślących, a w Marymoncie zawsze mówił mi profesor matematyki: „Ty Czerwiński, to najlepiej, żebyś nigdy nic nie myślał."

Zestawienie takiego kawalera, jak Czerwiński, z taką panną, jak Marynia, zawiera w sobie komizm bardzo lekki i przyjemny. Autor jeszcze obszerniej potem rozwija tę sytuacyę w rozmowie dwojga młodych ludzi sam na sam w ogrodzie, z której to rozmowy Marynia dowiaduje się dużo interesujących szczegółów z życia i otoczenia Czerwińskiego. Ale w następnym rozdziale, na imieninach u pewnych państwa w sąsiedztwie, następuje katastrofa, wskutek której wywiązuje się proces pomiędzy Czerwińskim i Wietrzyckim, a właściwie Wietrzycką, i usuwa zupełnie z pierwszego planu Marynię i sprawę wydania jej za mąż. Proces ten, to jest sąd polubowny, przedstawiony jest wprawdzie zajmująco i humorystycznie, przecież nie zdoła tak zająć czytelnika, jak poprzednia sytuacya, ponieważ nie ma w nim nikogo, z wyjątkiem może samego opowiadającego, któryby obudzał szczególniejsze współczucie, kiedy przeciwnie w początkowych scenach taką osobą jest Marynia. Czytelnik nierad, że mu odebrano bardziej zajmujące osoby i stosunki, aby go poprowadzić do mniej zajmujących.

Bądź co bądź Sąd polubowny należy do najlepszych powiastek, zawartych w zbiorze Fotografii społecznych, a zawdzięcza to przeważnie początkowym sytuacyom i bogactwu figur, dość luźnie zresztą wprowadzonym w opowiadanie, jak np. ksiądz proboszcz i sędzia Olowiński. „Pan komornik" jest o wiele mniejszym obrazkiem, wprowadzone tu figury z wyjątkiem głównej, nakreślone są — stosownie do ram — pobieżnie, ale za to ma ten obrazek zaletę wewnętrznej jedności, której nie dostaje Sądowi polubownemu.

Obok dwóch pomienionych powiastek należy w pierwszym rzędzie postawić jeszcze następujące: „Pani Inspektorowa, Przegrana sprawa i Intromisya lekarza." Ta ostatnia z fotograficzną dokładnością maluje małomiejskie stosunki, zawiści i intrygi. „Ma-

nia curaciosa" znaną jest czytelnikom *Tygodnia*, w którym przeszłego roku była drukowaną. Najmniej udatnym ze wszystkich obrazków jest „Kaprys panny Julii," dziwnym kaprysem losu czy wydawcy umieszczony na czele całego zbioru. Jeżeli nazwa fotografii społecznych najsłuszniej należy się wszystkim innym powiastkom, to do „Kaprysu panny Julii" stosować się wcale nie może, pomysł bowiem tej nowelki jest zbyt awanturniczy, ażeby mógł być zaczerpniętym z naszego życia społecznego.

„Zęby Warszawianki" i „Naiwności szlacheckie" są krótkiemi dykteryjkami, bez pretensyi do malowania społeczeństwa.

Jeżeli zapytamy teraz o tendencyę społeczną, która tak wielką obecnie gra rolę w naszej powieści, to i pod tym względem okaże się, że nasz autor wyróżnia się stanowczo z pomiędzy współczesnych powieściopisarzy. Spokojnie, bez uprzedzeń patrząc na społeczeństwo, nie stara się on skupiać wszelkich wad i śmieszności w jednej jakiejś warstwie społecznej, ale rozdziela je pomiędzy wszystkie, każdą wadę i śmieszność umieszczając na właściwem miejscu. Czyni on to bez wszelkiego gniewu i irrytacyi, która jakkolwiekby się maskowała, zawsze zdradzić się musi, i to nadaje właśnie ogromną siłę prawdy jego obrazkom. Ludzie jego nie dzielą się jak karty w talii na czarnych i czerwonych, ale mienią się wszystkiemi barwami życia. Nie można jednak powiedzieć, żeby autor był obojętnym dla wszelkich kierunków społecznych; że tak nie jest, świadczą o tem np. postacie pani prezesowej i Sobieradzkiego w „Przegranej sprawie;" ale to ciążenie autora ku pewnym kierunkom, nie wyrzuca go ani na chwilę z równowagi artystycznej i nie skrzywia jego sądu o ludziach.

J. T.

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 3. stycznia.

Za wiele już sługa wasz miał do czynienia z Nowymi Rokami, aby tego nowonarodzonego starca mógł wam z ręką na sercu polecić. Nie, przyznaję się, że nie mam do niego żadnego zaufania: najprzód, choćbyśmy mu odjęli dwie pierwsze cyfry, jak dobre matki nieraz odejmują coś podobnego z lat swoich córek, to zawsze te siedmdziesiąt ośm jest dyablo wysoką cyfrą, i wcale do młodości nie może sobie rościć pretensyi. Powtóre, o ile mu się przez te trzy dni przypatruję uważnie, to widzę, że jakoś mu źle z oczu patrzy i coś mi zakrawa na fałszywego hultaja. Bo proszę, was cóż dobrego naprzykład zrobił z panem Romanowiczem? Mógł przecież przed urodzeniem prosić c. k. prokuratoryę, żeby mu pozwoliła być na jego chrzcinach, ale nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności i krzyku za pozbawienie galicyjskiego obywatela wolności, wolał uprosić nieboszczyka ojca, aby uprzątnął wprzódy tego niebezpiecznego mówcę, a temsamem mógł się wyprzeć solidarności z programem koła wyborców lwowskich. Przyznacie, że postąpił sobie wcale nieparlamentarnie, coś nakształt jego ekscelencyi ministra sprawiedliwości jakiego konstytucyjnego państwa. Gdy chodziło o jego skórę, ma się rozumieć nowego roku a nie jego ekscelencyi ministra i podwładnych mu organów, to podczas pierwszych dni swego panowania, z Dobrzańskim i Rewakowiczem obszedł się wcale przyzwoicie: kazał ich przesłuchać cicho, spokojnie, z daleko większym taktem, niżby się po takim młodzieńcu spodziewać należało i pozwolił im wrócić do domu na śniadanie, które bądź co bądź musi lepiej smakować niż w traktyerni więziennej przy halickiej ulicy.

Szczególniejsza też sprawa dzieje się z tym programem wyborców lwowskich! i niech co chcą mówią o nas zawistni nieprzyjaciele, to moralność Lwowa jeszcze wysoko stoi. Wszyscy chcą być jego ojcem, i dobijają się o ten zaszczyt, choć podobno wszelkie kontrabandowane ojcowstwo nie bywa tak przyjemnem, żeby aż za niego siedzieć w kozie. Podług kodeksu Napoleona dochodzenie ojcowstwa jest zabronione, a prawodawstwo austryackie choć w pewnych razach przypuszcza ten dowód, to jednak nie przewidziało tej okoliczności, co zrobić z więcej niż jednym ojcem, gdy się ci do tego ojcowstwa przyznają. Mówił mi pan Onufry ze „Szczutka", a on znów zasłyszał to od woźnego z gubernii, że sądy głowę tracą, co zrobić z tymi drugimi ojcami. Tymczasem podobno kazali im iść na śniadanie, dopóki prawodawczą drogą nie wygotują nowelli do kodeksu cywilnego. Bywajże zdrów, panie Romanowiczu, posiedzisz ty sobie dość długo, a tymczasem p. Czerkawski złoży mandat i my na jego miejsce wybierzemy sobie takiego samego Wolskiego i zrobimy podwójny wyłom w delegacyi.

Wystawcie sobie czytelnicy ten pierwszy Wolski zbuntował się w Wiedniu i także pójdzie do kozy za zdradę już nie stanu, ale koła. Najprzód nagadał daleko więcej, niż było potrzeba w Radzie państwa, aby ludzie mający sprawę w Trybunale państwowym uznani byli za niemających ust do mówienia a tylko adwokaci za nich gadali, powtóre że podszył się z tą swoją retoryką pod skrzydła koła polskiego, ale co najważniejsza zrobił otwarty zamach na niepodzielność tej zacnej instytucyi i chciał oderwać od niej kilku członków dla utworzenia nowego kołeczka. Nie udała się ta robota, ale też i sądy wiedeńskie nie pociągają go za to do odpowiedzialności.

Dalej nowy Rok zachwiał na seryo powagę magistratu. Mimo przylepionych na drzwiach kartek, kieszenie moich czytelników zostały dobrze nadwerężone powinszowaniami, ale za to cośmy odebrali błogosławieństw, ukłonów, broszurek, kalendarzy, biletów, to dalibóg jak mnie, to na parę lat wystarczy. Jeden chłopczyna z drukarni, to posunął się tak daleko, że ofiarował mi swoje serce. Mój kochany powiadam mu, ja dosyć mam tych serc moich czytelniczek i topię się rok cały w gorącości afektów moich wielbicieli. Ale on nie i nie, kładzie to serce na biórku zapewniając, że cały rok czekał z utęsknieniem tej chwili, że w końcu musiałem dać dwie szóstki z prośbą, aby sobie zabrał to serce... Jakże żałowałem, że nie jestem kobietą? Bo to mówię wam, czytelniczki, było to serce całe w płomieniach, koloru świeżej maliny, a takie od niego buchały zapachy młodości, siły, baraniego poświęcenia i wody kolońskiej, że szkoda iż się tak zmarnowało za dwie liche szóstki.

Wraz z wojną turecką przekazał nam ten starzec w swoich sieniczkach wszystkie dolegliwości kasztanowe ze swej epoki. Plewna się poddała, Osman pasza dostał się do niewoli i pan Romanowicz do kozy, a magistrat lwowski nie może usunąć z ulic barykad złożonych z piecyka ognistego, pustej beczki, brudnej pierzyny i jeszcze brudniejszej żydówki, która schowawszy na krzyż złożone ręce za swoje chustki, drepcze tu i tam przy swojej barykadzie, zwiastując *friszes marony*. Wystawcie sobie czytelnicy, że jesteście w Jerozolimie przed najazdem Tytusa, i że jakiś prorok chodzi po murach zwiastując zburzenie, a mniejby was drażniły jego przepowiednie, jak przeciętnego Lwowiaka te *friszes marony*. Ani kroku nie ruszysz bez tego monotonnego nawoływania, a jeżeli chcesz wypić już do dna ten kielich goryczy, to kup sobie funcik na próbę, który ci nadobna Judyta izraelska pięknemi rączkami wprost z pod owej pierzynki wyciągnie. Prawda, że to są rozkosze wielkiego stołecznego miasta!

Stary rok chciał nam też na końcu małego figla wypłatać — miał intencyą wysadzić w powietrze cytadelę Lwowską za pośrednictwem naboi, które tam na czyjąś skórę przygotowywano. W niedzielę rano zaczęły sobie bez pozwolenia pukać te niewinne naboje, i gdyby nie odwaga żołnierza Rislera, który wytoczył półtoracentnarową barytkę z prochem, bylibyśmy przez lunetę przypatrywali się nieboszczce cytadeli bujającej w obłokach. — Bogiem a prawdą, żeby tak znowu było czego żałować, to nie powiem, poczciwa lwowska cytadela od r. 1848 jakoś się na nas udobruchała, a swoją drogą przypomina ona Lwowu ową pięcioramienną dyscyplinę, którą papa rząd powiesił wysoko na kołku, i gotów ją zdjąć jakbyśmy się bardzo rozswawolili... Jestem tu w położeniu takiego rozpustnego chłopaka, i wolałbym, aby ta dyscyplina nie wisiała na kołku.

Z poważnych zajęć tego świątecznego tygodnia nie mamy jeszcze nic do zanotowania, Lwów się bawił, składał sobie życzenia, podobno już i tańczył ochoczo. Strzecha p. Rychtera pokazała się w różnokolorowej prawdziwie karnawałowej sukience. Warszawskie czasopisma obiecują nam złote góry obrobione w cenzurze pana Ryzowa na krój słowiańsko-moskiewski. A i złota stanisławowska bryła nie może znaleźć amatora, ciągnienie tej loteryi odłożono. Piast księdza Stojałowskiego widocznie jeszcze nie wyjechał z Kruszwicy, bośmy go dotąd nie widzieli, choć ksiądz redaktor odstępuje go amatorom rocznie za siedm mszy. Widocznie cofamy się w epokę zamiany produktów, a taka manipulacya powinna obudzić uwagę władz czuwających nad bezpieczeństwem finansów państwowych. Proszę was czytelnicy, to oczywisty jest zamach na przymusowy kurs papierowych pieniędzy. Ksiądz Stojałowski widocznie nie ma zaufania do c. k. papierków, kiedy woli przyjmować za prenumeratę msze in natura, aniżeli taką gotówkę. Sprawa ta coś przypomina analogicznie sprzedaż odpustów przed reformacyą Lutra, i dziwimy się władzom kościelnym, że pozwalają takim propozycyom poniewierać się po inseratach gazeciarskich razem z ogłoszeniami profesora von Orlice, bazarem Fridmana, serami p. Markiewicza i chorobami, które leczy p. Jan Kurpiel... Szanowne duchowieństwo! — oburzacie się na nasz liberalizm, a ta prenumeracyjno duchowna frymarką jak się nazywa?

Albo naprzykład co można powiedzieć o książce wydanej w Bochni pod takim tytułem: „Krew przenajświętsza, która trysnąwszy z boku Chrystusa Pana, wpadła wprost do kielicha Serca prawowiernego chrześcianina." Na miłość Boską, gdzież tu był cenzor duchowny? Czyż tytuł ten daleko odbiega od owego Pistoletu do zabicia grzechu śmiertelnego? Zwracamy uwagę, my niby to ateusze, czy nie cierpi na tem powaga kościoła, którego jednak pragnęlibyśmy mimo naszych heretyckich usposobień widzieć potężnym i wolnym od tego rodzaju adherentów.

W końcu, nie możemy nadziękować się panu J. Wildtowi w Krakowie za wydanie dzieła p. Anny Libera pod tytułem „Wianuszek z wonnych kwiatuszków dla dziateczek". Rzeczywiście,

dziwnej to wonności są w tym wianuszku kwiatuszki, opisujące pozycyą dwojga utopionych małżonków, lub rozkoszy króla Salomona z 365ciu żonami i tyluż niewolnicami, który jak powiada p. Anna Libera, po tych wszystkich wszeteczeństwach umarł nakoniec. — Gdzież tu sumienie karmić poczciwe nasze dzieci takiemi wonnościami, od których i starym nosy by popuchły...

* * *

Do jakiego stopnia dochodzi niedbałość literacka w naszych czasopismach i jak bujnie rozrastają się chorobliwe i niesmaczne płody piśmiennictwa pięknego, przekonać się możemy wziąwszy do ręki pierwsze lepsze fejletony z dzienników lub wiersze z niektórych pism literackich. Znajdujemy tam prace tak naiwnie śmieszne, że zaiste dziwić się przychodzi niedbałości redaktorów, lub też zupełnemu brakowi smaku. Autorowie tu najmniej winni, bo któryż z tych „niewinnych“ synów muz oprzeć się zdoła wewnętrznej potrzebie przelania swych rozkołysanych uczuć na papier, któryż z nich trzeźwej krytyki nie weźmie za niesprawiedliwość i za nowy cierń w koronie męczeńskiej, którą ludzkość na wieszczów nakłada.

Uznajemy, że taki popęd do przelewania uczuć na papier jest niedopowściągnienia, uznajemy, że działa tu jakaś siła, wolą wieszczów się nie kierująca, lecz dla czegoż my na tem cierpieć mamy. Dla czego miast zdrowej strawy, mamy pożywać nadpsute lub niedonoszone płody poecików prowincyonalnych? Dla czego ci „duchem owiani“ nie są zmuszeni do ukrywania swych utworów w albumach panieńskich, lub kalendarzach? Dla czego pp. wydawcy każą nam czytać te banialuki; przecież nie jednemu młodzieńcowi, lejąc mu zimną wodę na głowę, zrobiliby rzetelną usługę, i zmusili do skierowania swych uczuć w inną pożyteczniejszą stronę.

Tymczasem u nas rzecz się dzieje inaczej. Nigdzie w Polsce, ba! może nigdzie na świecie nie znajdujemy tylu głupstw drukowanych, tylu nie mądrych wierszy, tylu powieści bez sensu, ile we lwowskiej prasie. A każdy z takich autorów to wieszcz narodu, to jeden z najznakomitszych powieściopisarzy. Ba! nawet i najznakomitszych uczonych w ten sposób tworzyć umiemy. Obdarowani zostaliśmy całym szeregiem znakomitości, które w każdem trzeźwem społeczeństwie byłyby na wieczne zapomnienie skazane.

Nieraz już w łamach naszego pisma występowaliśmy ostro przeciw tego rodzaju nadużyciom, lecz skutkowało to tylko chwilowo. Po pewnym czasie znowu nagromadzać się zaczynają niezdarne wiersze. W obecnej chwili właśnie stoimy w takim punkcie.

Weźmy naprzykład do ręki przedostatni z ubiegłego roku numer „Ruchu literackiego.“ Znajdujemy tam poemacik o dwustu wierszach pod tytułem „Chwilka reminiscencyi.“ Autor przez skromność podpisał się tylko trzema literami J. D. B. Jestto fantazya wywołana wpływem improwizacyi muzycznej jednego z „wielkich“ muzyków hr. Wł. Tarnowskiego, który według słów pana J. D. B. jest „mistrzem,“ „artystą natchnionym“, „uroczym wirtuozem.“

Przypatrzmy się bliżej tej fantazyi. W salonie, przy fortepianie siedzi p. Tarnowski i improwizuje. Pan J. D. B. rozmarzony, nie widzi fortepianu. słyszy zaś tylko orkiestrę złożoną z hotbojów, fletów, łkań dziecinnych, marzeń strumyków, rozgniewów Jehowy, piorunów i t. p. instrumentów.

Boć to, a któż wie, czy być nie może
Iż te namiętne rozmowy
Tak rozmarzają, nawet i Boże
Poczuciu w rozsen (!?) światowy,
Że sam Bóg nagle, ocknie się, zsromi
Takim momentem zachwytu
I gniew wszechmocny w światy rozgromi
Że czar... tknął niebios zenitu?!

Pan Tarnowski gra dalej na fortepianie. Autor słyszy jak

. . . . orkiestry jakieś niebiańskie
Wrą ziemiańskiemi debaty (!)

słyszy śmiechy szatańskie, modlitwy, jak krocie gromów rozbrzmiewa, jak grzeszni ślubują poprawy i wiele innych rzeczy. Przyznajemy chętnie, że są chwile w życiu, w których nawet jeszcze więcej słyszeć można; pamiętam, niedawno leżąc w gorączce, słyszałem wiele rzeczy w muzyce, którą wiatr na szybach wygrywał, lecz na to trzeba było gorączki:

Nareszcie p. T. przestał grać.

Grobowa cisza; echa zamarły;
Po twarzach łzy się ścinały;
Chwila rzec, zmarłych powiek stulenia!
. . . .
Ocknięty wreszcie jakimś stukotem
Zwracam się zdjęty osłupem; (!?)
Snać wieko trumny z takim łoskotem
Nagle zamknięto nad trupem!
Wtężyłem oczy — wieko podjąłem —
Spłonąłem! — nie wiem dla czego —
Fortepian tylko!

Dalej p. J. D. B. rozwodzi się nad zadaniem artystów w ogólności, i muzyków w szczególności.

Cud to nad cudy — *wniebionych* wcielać
Wcielonych wniebiać natchnienia....

i dalej na ten temat ciągną się nieskończone wywody, za którymi już trudno śledzić, gdyż są to najpospolitsze majaczenia. W całym wierszu uderzająca jest zdolność tworzenia słów malowniczych, których tu kilka dla przykładu przytoczymy. Spotykamy się z takim szeregiem: rozwodzą, rozsen, rozgniew, rozgrzmi, rozmarzają, i inne poczynające się od *roz.*

Zauważyliśmy jednak, że w tym całym wierszu brak jednego słowa na *roz*, mianowicie *rozumu!*

Rozumu! więcej rozumu.

Jako *pendant* do tego wiersza pozwolimy sobie przytoczyć wyjątek z powieści drukującej się obecnie w fejletonie Gaz. Nar. pod tyt. „Z puszczy.“ Spojrzmy co za kwiecistość stylu i jak wiele sensu.

Jesteśmy na początku rozdziału VIgo: „Na schyłku dnia weselnego czas upłynął Helenie w napadach na przemian: to smutku, to trwogi. Zachmurzyło się niebo jej rojeń a na dnie ducha wiły się błyskawic węże, ściskających w splotach śmiertelnych żałośnie serce, wydane na pastwę własnych przeczuć i pragnień łudzących... Sen nie zdołał zamknąć powiek. Odbywała się w łonie walka, owo krępowanie marzeń rozkołysanych rozkoszą, owo zdmuchnięcie tkliwych, tak uroczych uczuć dziewiczych, kroplami łez i dźwiękami śmiechu przeplatanych.“

Zdmuchnięcie jest dobre, ale dotąd jeszcze choć trochę sensu dopatrzeć się możemy. Lecz dochodzimy do głównego ustępu:

„Prysnęło czarujace widmo z kryształu i barw tęczowych, zamiast niego piętrzył się nad głową przeznaczoną mroźnemi skalaktytami, groźnie najeżony gmach obowiązku, świecący światłem tajemniczem geniuszu wśród nocy niepewności, budzącej strach niewieści i ścinającej lodem żądze ponętne marzeń dziewiczych.“

O Autorze! Nad głową twoją przeznaczoną mroźnemi stalaktytami głupstwa, piętrzy się groźnie najeżony gmach zlepiony z słów bez sensu, świecący wcale nie tajemniczem i nie ciekawem światłem niedołęztwa wśród nocy, która opanowała fejletony dziennikarskie; budzącej uśmiech politowania i t. d., i t. d... bez końca!...

BIBLIOGRAFIA POLSKA.

— *Chrzanowski Tadeusz.* Teorya sklepień 8ka str. 145 z 12ma tablicami. Warszawa 1877 3.30

— *Chwiećkowski Józef.* Siła i materya czyli stopniowy rozwój pojęć o tych przedmiotach. 2 tomy 8ka, str. 342, 410. Warszawa 1877. 6.60.

— *Czarnowski Aleksander.* Wychowanie publiczne na podstawach ekonomii politycznej. (Studyum) 8ka, str. 162. Warszawa 1877 1.25.

— *Ehrenfeucht Feliks.* Fałszywy kierunek. Komedya w pięciu aktach oryginalnie napisana. 8ka, str. 228. Warszawa 1877. 1 złr.

— *Encyklopedya ogólna* wiedzy ludzkiej. Tom XII (ostatni) str. 480. Warszawa 1877. Cena 12tu tomów. 35 złr.

— *Encyklopedya rolnictwa* i wiadomości związek z nią mających. Tom IV. zeszyt 11, 12. (całego dzieła zeszyt 46, 47) 8ka, str. 737. do str. 877. Warszawa 1877. Cena w prenumeracie za komplet 40 złr.

— *Hellwald Fryderyk.* Ziemia i jej mieszkańcy. Przekład z niemieckiego, tom II. Afryka z licznemi drzeworytami w tekscie s. 4 str. 139. Warszawa 1877 1 złr. 25 ct.

— *Jeske August.* Równianka czyli zbiór powiastek do opowiadania dzieciom od lat 3 do 7. Wydanie drugie 8ka, str. 166, kartonowane. Z obrazkami kolorowanemi 1.25 to samo bez obrazków. 75 ct.

— *Klun Dr. V. F.* Geografia powszechna. Podróżnik wedle pierwotnego tłumaczenia L. Germana i R. Starkla. Przejrzał i wydał ponownie Romuald Starkel 8ka, str. 313. Lwów 1878. 2.10.

— *Kosiński Ks. K.* Mały katechizm dla ludu i dzieci. Wydanie drugie powiększone 16ka, str. 61 Warszawa 1877. 10 ct.

— *Kraszewski J. I.* Królewscy synowie. Powieść z czasów Władysława Hermana i Krzywoustego 4 tomy 8ka, str. 216, 203, 216, 202. Warszawa 1877 6.60.

— *Macaulay Lord*, Szkice historyczne Tomasza Babingtona, Bariére, Mirabeau, Fryderyk wielki. Machiavelli, przełożył z oryginału włoskiego Jan Karłowicz, 8ka, str. 211 Warszawa 1878. 2 złr.

— *Mały zwierzyniec.* Historya naturalna wierszem dla dzieci, ułożona przez Jana z Rzeszowa, z rycinami 8ka, str. 108. Warszawa 1878, elegancko oprawna 1.25.

— *Masłowski Adolf.* Kamienne serca, komedya w trzech aktach wierszem 8ka, str. 128. Warszawa 1877, 1 złr.

— *Orłowski Franciszek.* O chorobach wenerycznych i syfilistycznych w północnej Azyi a w szczególności w Syberyi wschodniej. 8ka, str. 108. Warszawa 1877. 1.80.

Wiadomości z kraju i ze świata.

ZAPISY NA MEDAL PAMIĄTKOWY J. I. KRASZEWSKIEGO.

13. Wny. Władysław Kozłowski z Krakowa 3 złr.

14. Wny Sewer. 3 złr.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Pozłacany Kozik i Wdzięczność dwóch sierót.* Pod tymi tytułami wyszły dwie powiastki ludowe napisane przez Stan. Myszkowskiego, a wydane nakładem Bohusa w Jarosławiu. Są to udatne powiastki zdolne zaciekawić czytelnika, a mają za tendencyę rozbudzić chęć do przemysłu domowego w ludzie naszym i wskazać mu dobre skutki oświaty. Witamy w panu St. Myszkowskim zdolnego pisarza ludowego, który z serca do niego przemawia i niewątpliwie będzie zrozumianym. Na zaletę powiastek, a szczególniej drugiej podnieść musimy tak to, że autor podaje ludowi zdrowe rady ku podniesieniu jego dobrobytu, jak i to, że nie przesadza w tem, nie nuży, ale owszem wplata je bardzo zręcznie w opowieść samą.

— *Za panią matką pacierz,* przysłowie dramatyczne w jednym akcie przez Henryka hr. Łączyńskiego. Wyszło nakładem księgarni Wł. Belzy

— Towarzystwo aptekarskie we Lwowie wydało na rok 1878 *Kalendarz dla użytku farmaceutów i chemików.* Kalendarz ten zawiera znaczną ilość tablic podręcznych dla użytku farmaceutów i chemików, oraz artykuł o dochodzeniu trucizn nieorganicznych. Z dodatkiem dziennika na rok 1878. Wydanie porządne, na ładnym papierze, oprawne w płótno z odciskiem popiersia Torosiewicza.

— Bibliotekarz wszechnicy Jagiellońskiej K. Estreicher, przesłał „Biesiadzie Literackiej" ciekawą notatkę o pracach Kraszewskiego. Powtarzamy ją za „Biesiadą".

Najpierwszemi pracami Kraszewskiego były: Opowieść z życia Karpińskiego, umieszczona w „Noworoczniku literackim" i powieści „pan Walery" i „Wielki świat małego miasteczka" oddzielnie wydane.

Od tego czasu wydał Kraszewski dzieł 230, tomów 450; z tego odpada dzieł 4 na czasopisma, w 84 tomach.

Niektóre czasopisma całkowicie piórem własnem wypełniał.

Z liczby tej powtórzono drukiem dzieł 63 — w tomach 133; liczba więc z powtórzeniami urosła do tomów 573.

Z prac tych przełożono na język rosyjski dzieł 18, czeski 13, niemiecki 6, francuski 4, włoski 2, hollenderski 1; razem przełożono dzieł 44.

Można przyjąć, że rocznie pisał 9 tomów. Oprócz tego pisał kilka tysięcy korespondencyi, do czasopism literackich. Licząc że rocznie tom jeden a w ostatniem dziesięcioleciu po dwa tomy (co najmniej) dostarczał korespondencyi, można przyjąć, że korespondencye objęły 50 tomów — czyli że ogólną ilość napisanych tomów na 490 oznaczyć należy.

Rachując przeciętnie na tom 12 arkuszy druku, otrzymamy co najmniej wydrukowanych arkuszy 6000 czyli 36000 arkuszy pisma. A że przeciętnie bito 700 egzemplarzy każdego dzieła, otrzymamy, że Kraszewskiemu cywilizacya narodowa zawdzięcza przeszło pół miliona książek.

Tej twórczej obfitości nie przedstawia nam żadna literatura, żadna historya oświaty — bo wszystko, co Kraszewski napisał, to napisał własnoręcznie a co więcej, napisane przepisywał częstokroć sam i częstokroć sam prowadził korektę. Być może, że Dumas (ojciec) na liczbę dzieł napisał tyle, co Kraszewski, a może i nieco więcej, lecz do tej pracy miał kilkunastu pomocników. Podobnie Scribe wyręczał się całą kancelaryą wykończaczy pomysłów i szkiców. Jeden „feniks piszących" Lopez de Vega miał napisać 133225 arkuszy, a 21300000 wierszy druku, lecz tych cyfr, nie znając wszystkich dzieł Lopez'a, sprawdzić nie możemy, a przytem wiemy, że także miał pomocników. Więc tylko jeden Kraszewski własną ręką, własnym trudem dokonał tak olbrzymiego dzieła — jego tylko feniksem pracy literackiej nazwać się godzi.

Nowa karta Afryki, z uwzględnieniem najnowszych zdobyczy geograficznych w tej części świata, mianowicie dokonanych świeżo przez Stanleya, wydaną została w tych dniach przez członka wiedeńskiego instytutu geograficznego dr. Chavanne. Nakreślony jest już na niej cały bieg olbrzymiej rzeki środkowo afrykańskiej, którą Stanley nazwał Liwingstone (Kongo, Lualaba), a która do niedawna jeszcze była zagadką dla geografów; dalej nakreślone są na niej w ostatnich dopiero czasach zbadane obszary Afryki środkowej, Wadai, Tibesti, Ahaggar, oraz nad górnym Nigrem Ogowai, Faan i t. d Na osobnych czterech kartonach są oznaczone podziały ciepłoty podług izotermów rocznych, lasów, kraju uprawnego, stepów i pustyń, oraz opadów atmosferycznych, dalej podział etnograficzny i polityczny z uwzględnieniem najnowszych zaborów Egiptu w Darfurze, Kordofanie i Sudanie, tudzież Anglii w Transwaalii.

— Wkrótce w „Tygodniku Illustrowanym" mają być pomieszczone dwie zajmujące monografie dra Wołyńskiego: „Antonio Cenci" (ojciec słynnej Beatrix Cenci), i „O stosunkach Galileusza z Polską".

— Ze świata muzyki. Przybyła z Paryża do Warszawy panna Teresa Jakubowiczówna, pianistka, uczennica Rittera, której kilkakrotne występy w sali Hertza tak przez publiczność jak i przez krytykę życzliwie były przyjęte. Antoni Kątski stanął w stolicy nadsekwańskiej i tam zamierza się osiedlić. Krążą pogłoski, iż wkrótce przybyć ma do Warszawy p. Wanda Bogdani-Kleczkowska. Zeszyt XII *Echa muzycznego* zawiera między innemi nową kompozycyę Wł. Żeleńskiego „Sen" do słów Mickiewicza.

— Że wystawa Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, przyczynia się do rozwinięcia smaku i zamiłowania sztuki, o tem przekonywa nas porównanie liczby zwiedzających sale wystawy w Warszawie w ciągu lat kilku. I tak w r. 1873, za biletami wejścia zwiedziło wystawę osób 23.370, co przyniosło dochodu rs. 1465 kop. 47½, w roku 1874, osób 24.295 co przyniosło funduszom towarzystwa rs. 1515 kop. 2½, w r. 1875, osób 26.315 co przyniosło rs. 1601, w r. 1876, osób 29.405 co dało dochodu rs 1687 kop. 82½ i nareszcie w r. b. po koniec listopada osób 34524 co przyniosło rs. 2048 kop. 82½. Nagły przybytek w roku bieżącym tłómaczy się wystawieniem w salonach wystawy kilku utworów pędzla Matejki i Siemiradzkiego. Niezależnie wszakże od tego, porównanie przytoczonych za lat kilka cyfr wykazuje stały lub mniejszy przyrost, wczem na wzmiankę zasługuje ta okoliczność, że cały wzrost dochodu opiera się na większej sprzedaży 5 cio kopiejkowych biletów wejścia. Gdy bowiem w roku 1873 zakupiono ich tylko 20308, w roku zeszłym sprzedano tychże biletów 27.185 sztuk. Zupełnie przeciwnie dzieje się z biletami po kop. 15, sprzedaż których wyraża się w r. 1873 w cyfrze 2939 a w roku zeszłym scho dzi do 2161.

— Na czele dziennika „Żywopisnoje Obozrenje", umieszczony jest śliczny rysunek Andriollego „Pokusa". Illustracya wspomniana bardzo często podaje utwory znakomitych naszych artystów.

— Studenci-Polacy w Petersburgu. W dniu 16 z. m. odbył się akt uroczysty zakończenia roku szkolnego w Akademii Sztuk pięknych w Petersburgu, na którym odczytano roczne sprawozdanie i rozdano medale i patenty.

Z prywatnego listu, który w tych dniach otrzymaliśmy, dowiadujemy się że na 240 studentów uczęszczających do Akademii jest 38 Polaków. Z tych 11 ukończyło całkowity kurs nauk w r. b. i otrzymało następujące nagrody:

Wielki złoty medal: Weloński Pius, rzeźbiarz.

Wielki srebrny medal: Wiesiołowski Ludwik, Ryszkiewicz Józef i Konopacki Jan — malarze; Tołkowski Józef — architekt.

Mały srebrny medal: Bakałowicz Stefan, Gołębiowski Kazimierz i Dudin Kazimierz — malarze; Osuchowski Hieronim — architekt.

Medal zachęty: Siwicki Tomasz — malarz i Dąbrowski Karol — architekt.

Nadto student 3-go kursu Stefan Schüler otrzymał za swoje prace od Akademii nagrodę pieniężną.

Obdarzony najzaszczytniejszą i nader trudną do pozyskania nagrodą p. Pius Weloński, znany naszej publiczności z projektu do pomnika dla Malczewskiego, wysłany zostaje kosztem rządu za granicę na lat 5 dla dalszych studyów

Wszystkie najlepsze prace studentów Akademii nagrodzone medalami zostały wystawione na widok publiczny.

Pomiędzy niemi figurują także obrazy i rysunki malarzy i architektów, nie mających obecnie z Akademią styczności. I tak np. A. Głębocki wystawił jeden obraz olejny i kilka rysunków, Alfred Kowalski w Monachium niewielki obraz, przedstawiający powrót Napoleona z Rossyi, który odznacza się świetnym kolorytem i znakomitym rysunkiem koni, wreszcie Plater, architekt, wystawił wiele projektów, a pomiędzy innemi, projekt gmachu sejmowego we Lwowie.

— W dorpackim uniwersytecie znajduje się przeszło sześćdziesięciu Polaków.

Wynalazki.

— Z Berlina donoszą, że ks. Bismark, chcąc dokładnie poznać sposób telegrafowania za pośrednictwem telefonu, sprowadził do Warzyna trzech urzędników zarządu telegraficznego który obecnie już tam przybyli wraz z potrzebnemi przyrządami.

W skutku pomyślnych prób z telefonami, berliński zarząd telegrafów zamówił u pp. Siemens i Halske 200 telefonów, dla urządzenia odpowiedniej liczby stacyi telegraficznych.

ROZMAITOŚCI.

— Nieczytelnem pismem — są słowa *Gaz. Warsz.* słynął u nas Julian Bartoszewicz.

Odczytanie odebranego odeń listu, w którym starał się pisać wyraźnie, stanowiło prawdziwą katuszę

Rękopisma zaś przeznaczone do druku, w których nie troszczył się wcale o wyraźność, były prawdziwą zagadką.

Jeden tylko zecer w Warszawie nauczył się biegle je czytać i przy jego też tylko pomocy zdołano przepisać dzieła pośmiertne Bartoszewicza dla wydania, drukującego się obecnie w Krakowie.

Nie sam jednak Bartoszewicz odznaczał się takim charakterem ręki.

Austryacka *Gazeta Drukarska* podaje bardzo podobne szczegóły o Saphirze.

W jednym z listów tego humorysty do pewnej damy znajduje się taki ustęp:

„Jeżeli pani nie będziesz mogła przeczytać tego listu, to racz mieć chwilkę cierpliwości, przyjdę sam i przyprowadzę mego zecera J. Postołkę z drukarni Grund'a, jedynego człowieka na świecie, umiejącego czytać moje pismo. Istnieć nie mógłbym bez niego, gdyż żaden człowiek nie umie czytać mego pisma, ani składać, ale i on nie mógłby żyć bezemnie, gdyż z powodu długiego nawyknienia, nie jest zdolny żadnego innego porządnego pisma czytać. Chyba już razem umrzeć będziemy musieli, a na grobie naszym taki położą napis: Grób ten zjednoczył przedziwną parę: jeden z nich gryzmolił, a drugi składał. Bóg im tego za złe nie policzy, gdyż obaj robili to z biedy — i basta!"

Rzeczony towarzysz sztuki drukarskiej żyje dotąd i jest dyrygującym w jednej z drukarń wiedeńskich.

Żyje też w Warszawie p. Teodor Jarmużyński, posiadający sztukę czytania rękopismów Bartoszewicza i jest obecnie zarządzającym drukarnią po ś. p. Girsztowcie.

— Uprzedzenie, rozpowszechnione jeszcze na świecie, jakoby z zaprowadzeniem jazdy kolejowej znacznie się zwiększyła liczba nieszczęśliwych wypadków pomiędzy podróżującymi. cyframi rozproszył ostatecznie statystyk francuski p. Gartaux. Obliczył, że w czasie, kiedy jeszcze podróżowano wyłącznie kołowo, mianowicie dyliżansem i karetą pocztową, zdarzał się jeden wypadek zabicia na 300.000, a jeden okaleczenia na 30.000 podróżnych. W pierwszych zaś dwóch dziesiątkach lat od zaprowadzenia jazdy kolejowej (r. 1835 do 1855) zdarzał się jeden wypadek śmierci na 200.000, a jeden okaleczenia na 500.000 podróżnych. Stosunek ten w następnych latach jeszcze się polepszył W czasie od roku 1855 do 1875 przypadał jeden wypadek śmierci na 6,000.000 i jeden okaleczenia na takąż samą liczbę podróżnych, dziś zaś. wy ąwszy wypadki spowodowane największą nieostrożnością ze strony samychże podróżnych, przypada jeden zabity na 45.000.000 podróżujących koleją żelaznemi. Gdyby ktoś obecnie chciał „szukać" wypadku podczas jazdy kolejowej, to stosownie do powyższego obliczenia musiałby robiąc na dobę 400 mil angielskich, podróżować 7.439 lat, ażeby wypadku takiego doznać.

— Telefon funkcyonuje już w Dąbrowie, zamiast dawniej używanego telegrafu!

Został on przeprowadzony między zarządem kopalni dąbrowskich i samą kopalnią na dość znacznej przestrzeni.

Działa zaś ku ogólnemu zadowoleniu.

— Bank polski w roku bieżącym obchodzi piędziesięcioletnią rocznicę swego istnienia. Ustawa bankowa zatwierdzoną została w dniu 28. stycznia, a otwarcie czynności bankowych nastąpiło w dniu 6. maja 1828 roku.

— Kobiety muzułmańskie w teraźniejszej wojnie zdobyły sobie przynajmniej pole cokolwiek szerszych zadań i obowiązków, niż haremowe. Wolno im pełnić samarytańską służbę około rannych i chorych w lazaretach polowych. W szpitalach filipopolskich kilka pań mahometańskich odznaczyło się gorliwą i pełną poświęcenia usługą około rannych: niektóre z nich pracowały w kuchniach, inne zajmowały się bielizną, największa część jednak pomagała lekarzom i chirurgom przy amputacyach i czuwała nad chorymi. Lekarze niemieccy największe pochwały oddają skromności, powolności a nawet zręczności Turczynek w tym zawodzie, a niemniej katolickie Szarytki, z któremi panie muzułmańskie wspólnie spełniają dzieło szlachetnego miłosierdzia, odzywają się z wszelkiem uznaniem o swych koleżankach pełnych łagodności i wytrwałości. I rząd turecki jednak umiał już uznać powołanie kobiet w tym kierunku i nie stawia im w tem przeszkód, a muftowie i imamowie z podziwieniem jedynie patrzą na to wystąpienie niejako kobiet muzułmańskich z granic, nakreślonych im przez islamizm, nie odważając się przy powszechnem uznaniu zaprotestować choćby słowem przeciwko temu. Sułtan nawet postanowił utworzyć osobną odznakę honorową dla kobiet, które w wojnie położyły odpowiednie swemu powołaniu zasługi. Będzie to medal srebrny, po jednej stronie opatrzony w herby sułtańskie, po drugiej napis „Harb (wojna) 1877.“ W każdym razie w stosunkach społecznych Turcyi fakta opowiedziane przedstawiać się muszą jako postęp ku lepszemu; przed 10 laty jeszcze udział taki Turczynek w pielęgnowaniu rannych z pewnością byłby natrafił na nieprzełamane przeszkody. Dodać tu zresztą należy, że świat kobiecy w całem państwie mahometańskiem od samego początku wojny okazuje najwyższe zainteresowanie się i współudział w wypadkach, od których zawisł los ich w kraju. Nietylko panie tureckie, ale i najuboższe kobiety z ludu zajmowały się gorliwie zbieraniem składek i sporządzaniem odzieży dla walczących braci i mężów, a wszystkie nieledwie haremy od roku przedstawiają się jako istne pracownie krawieckie.

Bon mot. Berlińskiej „Trybunie“ udają się czasem dowcipy.

Niedawno z okazyi telefonu, na punkcie którego nad Sprea do śmieszności posunięte panuje zajęcie, wyrzekła ona następujące zdanie:

„Telegraf jest starszy i arystokratyczniejszy, co już sama nazwa dochodzi: tele*graf*, — telefon młodszy zasłużył dopiero na skromne szlachectwo, gdyż ma dopiero tytuł: *von*.“

„Pod lipami“ jestto koncept bardzo modny!

Oryginalny pomysł samobójstwa.

W Wiedniu przed kilku dniami, Franciszek Knopp, lampiarz w teatrze Wielkiej Opery, zakończył życie własnowolnie, z powodu długów, które na nim ciążyły.

Po przedstawieniu „Hugenotów“ — kiedy wszyscy wydalili się ze sceny, Knopp z największą ścisłością spełnił swój obowiązek. Pogasił wszystkie lampy, pozakręcał krany i w największym porządku zawiesił klucze należące do aparatów gazowych. Potem wlazł w tak zwany bęben gazometru, spuścił pokrywę i wsadziwszy sobie w usta gutaperkową rurę, udusił się gazem. Miejsce, w którem znaleziono jego ciało nieżywe, jest tak szczupłe, iż samobójca formalnie wgnieść siebie tam musiał.

Tenże sam Knopp odznaczał się szczególną pomysłowością w zamiarach samobójczych.

Przed dwoma laty bowiem zdarzyło się już raz, iż uratowano go od śmierci, wyciągnąwszy przemocą z trumny, którą w trzecim akcie „Lukrecyi“ używano na scenie. Miał on zamiar zagłodzić się i dwa dni przeleżał w trumnie, a gdyby magazynier przypadkiem nie był strącił z niej wieka — Knopp byłby dwa lata wcześniej dostał się na cmentarz.

JAKIM SPOSOBEM ZOSTAJE SIĘ PODPREFEKTEM.

Działo się to w r. 1848. Glais-Bizoin*) był wówczas deputowanym i przyjacielem Ledru-Rollin'a, więc osobistością wpływową. Przypadek chciał, że zajechał on w gościnę do jednego z dawnych kolegów w departamencie de la Gironde.

Cały dom powitał go z otwartemi ramionami, jak się to wita miłego, dawno niewidzianego gościa. Gdyby to nie działo się było we Francyi, powiedzielibyśmy: ze staropolską gościnnością.

Każdy starał się uprzyjemnić mu chwile pobytu, ściskano go, całowano, obnoszono niemal na rękach, a młoda guwernantka, panna Zoé, uwiła nawet dla niego bukiet i postawiła go przed nakryciem kochanego gościa. Taka uprzejmość ze strony młodej kobiety ujmuje, chociażby się było nawet deputowanym i przyjacielem Ledru-Rollin'a.

Zaproszono zaraz na uczczenie przybyłego kilka znakomitości miejskich, pomiędzy którymi znajdował się także młody, przystojny, wykształcony i dowcipny adwokat, przyjaciel domu i bliski sąsiad, którego nazwijmy przybranem imieniem Kassyusza w braku prawdziwego. A był z niego także dzielny i zapalony republikanin w dodatku.

Przy stole kieliszeczek, jeden, drugi, ożywił gawędę; mówiono o tem i owem, młody adwokat wodził rej językiem i zawojował wszystkich a szczególniej Glais-Bizoin'a.

— Wiesz? to walny jakiś chłopak, — szepnął gospodarzowi domu — tęga głowa, wygadany aż miło, chwat!

— Ba! jeszcze jaki!... po tobie też uważam go za najlepszego mego przyjaciela — odpowiedział zagadnięty.— A co za talent administracyjny, powiadam ci, wartoby go zaprotegować; właśnie stara się o podprefekturę. Gdybyś tam przy twoich wpływach mógł co zrobić dla niego?... ot, słówko, coś, — tego... wy to tam umiecie, jak chcecie!...

— Dobrze, dobrze, z całego serca; pomówię z Ledru-Rollinem przy najbliższej sposobności. A czy udawał się już do ministeryum?...

Kassyusz przywołany do konferencyi zręcznym komplementem dobił deputowanego.

— Mam właśnie w kieszeni prośbę gotową, — rzekł z uprzejmym uśmiechem, do jakiego tylko usta adwokata przed objęciem sprawy są zdolne.

— To dasz mi ją jutro, mój młody przyjacielu — przerwał Glais-Bizoin, kończąc uściskiem zaczęty frazes. — Bądź pewny pomocy z mej strony, bądź pewny...

Wstano od stołu, rozmowa się podzieliła na kółka, — korzystając ze sposobności ten i ów z dygnitarzy małomiejskich przychodził jeszcze polecić się panu deputatowi, wreszcie po tysiącznych ukłonach goście wyszli a zostali tylko sami domowi i Glais-Bizoin, kontent z przyjęcia i nowych znajomości.

Ponieważ się niespodziewano tak miłej niespodzianki w osobie przyjaciela, nie przygotowano też dlań łóżka na noc, ani osobnego pokoju, ale znalazła się i na to rada.

— Będzie spał w pokoju panny Zoé — powiada gospodarz domu.

— Jakto? — pyta zdziwiony Glais-Bizoin.

— No, no — bez obawy.

— Jakto bez obawy?

— Zdarzyło się tak szczęśliwie, że panna Zoé wyszła do swej chorej ciotki, u której pewnie noc przepędzi, będziesz zatem mógł bezpiecznie zająć jej izdebkę.

Klatka guwernantki, — prawdziwe sanctuarium dziewictwa! Kilka książek moralnych na biórku, białe firanki w oknach, kwiatki, dużo robót na kanwie i z włóczki, — na stoliku porzucona sielanka „Paweł i Wirginja“ — wszystko idealne, skromne, panieńskie...

Dobrze się sypia w takiem sanctuarium cnoty i niewinności, zwłaszcza kiedy się już jest deputowanym i kiedy się zjadło smaczny obiadek w wesołem towarzystwie. Glais-Bizoin też zmrużywszy oczy — usnął od razu. Wtem skrzypnęło okno, wionęło świeże, zimne powietrze z zewnątrz... w oknie zarysował się jakiś cień, ktoś cichutko na palcach wskoczył do pokoju i jak duch począł się skradać ku łóżku, na którem pan deputat z pierwszego snu zbudzony starał się rozpoznać nocnego gościa i czekał, co dalej będzie.

W roku 1848 złodzieje w Paryżu plądrowali po domach. Glais-Bizoin nie wątpił już, że ma do czynienia ze złodziejem, postanowił więc zaczaić się i rzezimieszka na gorącym uczynku schwytać. Zacisnął tylko pięść przygotowaną do poczęstunku między oczy i czeka...

Cień zbliża się chyłkiem, cichuteńko, staje przy łóżku i już, już — pięść deputata miała mu przybić na twarzy, gdy nagle mniemany złodziej nachyla się i... wyciska gorący pocałunek na brodzie Glais-Bizoin'a.

Bah!... złodziej co kradnie pocałunki w pokoju guwernantek nie zasługuje na poczęstunek pięścią—choćby... deputowaną.

W każdym razie przypadek taki zadziwić musiałby samego Ledru-Rollin'a, nietylko jego przyjaciela. Glais-Bizoin zrywa się, chce objąć czułego Adonisa, lecz ten zręcznie odskakuje w bok, jednym susem przesadza okno i ginie w ciemności, a z nim i tajemnica nocy.

Los na nieszczęście bywa czasami okropnym delatorem. W pospiechu nocnemu ptaszkowi wypadł jakiś papier. Glais-Bizoin podnosi go, i czyta: „Do J. Ekscelencyi pana Ministra spraw wewnętrznych! Moje zasady republikańskie etc. etc... podpisano: Kassyusz.

Była to prośba, którą młody adwokat przy obiedzie chciał mu doręczyć.

Nie można było zostawić wyraźniejszej karty wizytowej po takich odwiedzinach.

Na drugi dzień Glais-Bizoin wyjechał z powrotem do Paryża, nie mogąc pożegnać się osobiście z Kassyuszem. Zostawił mu więc następujący bilecik:

„Szanowny Panie! Powiadano mi tyle dobrego o Panu, że postanowiłem prośbę Pańską poprzeć u ministra, chociaż mi takową w sposób dość niedyskretny o godzinie 2 giej po północy wraz z niezasłużonym pocałunkiem oddano. Sądzę mój Panie, iż urzędnik żonaty ma więcej powagi na swojem stanowisku, radzę panu przeto poszukać sobie żony. Zapewniono mnie, że wychowanica mego przyjaciela, panna Zoé, a guwernantka w tym domu, gdziem miał przyjemność poznać Pana — ma być czarującą osóbką. Co Pan sądzisz w tej mierze?...“

W trzy miesiące potem Kassyusz był podprefektem a panna Zoé podprefektową.

Dzisiaj jest już deputatową, mąż niekiedy budzi ją pocałunkami, — ale w rękę, bo z latami objawy miłości nie wznoszą się już do wysokości ust koralowych niegdyś.

*) Zmarły niedawno deputowany republikański.

Od Redakcyi.

Pan F. N. we Lwowie. Powiastka „Tak to zawsze bywa“, nie będzie drukowaną w „Tygodniu“.

Pan Ch. w Krakowie. Będzie zamieszczone w jednym z najbliższych numerów.

Wydziałowi Cz. Ak. we Lwowie, Czytelni w Dublanach i innym czytelniom, które zgłosiły się do nas z żądaniem o bezpłatne nadsyłanie „Tygodnia“. Gdybyśmy mieli tysiące prenumeratorów moglibyśmy i chętnie przesyłalibyśmy pismo nasze bezpłatnie. Ale w tak trudnych warunkach, jak nasze, nie wolno nam tego uczynić, byłaby to bowiem dobroczynność kosztem wartości pisma a więc kosztem wszystkich prenumeratorów.

Treść Nr. 19.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.